# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 19. WARSZAWA, 12 MAJA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.


# NA KRESACH

ISTNIEJE w Polsce pojęcie polityki kresowej, to jest, ściślej mówiąc, linji postępowania na ziemiach, zamieszkanych przez ludność mieszaną. Zagadnienia polityki kresowej należą do najkapitalniejszych a jednocześnie najtrudniejszych. Naród musi mieć obszary swego wpływu narodowego, które są sprawdzianem jego siły cywilizacyjnej. Gdy wpływy te poczynają maleć i wysuwa się potrzeba polityki t. zw. „silnej ręki", nie znaczy to jedynie, że sprawa pewnego terytorjum jest zagrożona, ale, że się źle dzieje tam, gdzie winno pulsować źródło emanującej siły.

Z dwóch obszarów kresowych: wschodnich i zachodnich, ten drugi zdawał się przedstawiać problem łatwiejszy, nawet winien on tam, mówiąc prawdę, nie istnieć wcale. Ziemie bowiem zachodnie posiadają ludność rdzennie polską, co więcej, są kolebką państwa. Długie lata, a nawet wieki wynarodowiania nie potrafiły zniszczyć narodowego ducha, nie potrafiły zagłuszyć instynktów, czego najlepszym dowodem było imponujące odrodzenie Śląska. Odzyskanie ziem zachodnich wśród takiego wybuchu patrjotyzmu, jak powstania wielkopolskie i śląskie, nie nastręczało większych trudności w usuwaniu zaborczego pokostu. Niestety, nie zdobyto się na całkowity i pełny wysiłek, nie wyzyskano uprawnień, wynikających z Traktatu Wersalskiego, a umową polsko-niemiecką z roku 1930-go zrzeczono się ich na zawsze. Ową korzyścią, za którą zapłacono tak wielką cenę, miało być ściślejsze porozumienie z Niemcami. Przyznajmy, że wyniki przeszły najśmielsze nawet nadzieje; już w parę lat oczekiwane porozumienie poczęło przybierać cechy budzące niepokój. Coraz głośniej zaczął się odzywać nieomylny instynkt, przypominając prastare przysłowie o „Niemcu, co to nigdy nie będzie Polakowi bratem". Pytający wzrok skierował się w stronę Ministerstwa Spraw Zagranicznych, cóż — kiedy wraz z odbudową pałacu Brühlowskiego zamieszkał tam również i duch epoki saskiej. Posunięcia na terenie zewnętrznym państwa stały się tajemnicą, od której wara „narodowemu warcholstwu"!

Skutki zażyłych stosunków polsko-niemieckich nie dały długo czekać na siebie. Niemal codziennie z obszaru ziem zachodnich dochodzą wieści w treści swej poprostu potworne... Oto szerzy się tam w zastraszający sposób propaganda hitlerowska, a wślad za nią idzie organizacja, zalegalizowana (tak!) przez władze polskie. Jest nią *„Deutsche Vereinigung"*, której działalność przybrała już formy tak agresywne, że nie sposób nie nazwać ich po imieniu—terrorem. Korespondent „Kurjera Poznańskiego" przytacza przerażające wypadki, gdzie całe wsie polskie wstępują do *„D. V."* Czytamy, że „...w najbogatszej na terenie całego powiatu wsi Mnichowice na 600 osób tylko 4 nie zapisały się do *„Deutsche Vereinigung"*. W wybitnie polskim Bralinie prawie 300 osób (razem z dziećmi!) zadeklarowało się do *„D.V."* W Słupi, w Koziej, w Trębaczowie, zwłaszcza w Chojęcinie i w innych wsiach licznie deklarowano akces do *„D. V."*..."

Dodajmy, że agresywność ekspansji niemieckiej nie spotyka się z należytym naszym naciskiem na władze niemieckie, aby zmieniły swój stostnek do ludności polskiej w Niemczech. A tymczasem wieści z zagranicy są wielce niepokojące i nie wróżące nic dobrego dla stanu naszego uświadomienia i posiadania narodowego. Przytaczamy słowa opolskiego korespondenta „Kurjera Warszawskiego":

„Dramatyczne napięcie, jakie przeżywa młode pokolenie polskie w Niemczech, posiada cechy naprawdę krańcowe. Albo pozostaje ono wierne polskości, t. j. duchowi, mowie, obyczajom i tradycji, to wówczas musi przeżyć całą gehennę prześladowań, szykan, przykrości i ciężkich na każdym kroku utrudnień życiowych, albo też, poddając się wynarodowieniu faktycznemu lub pozornemu, staje się przedmiotem szczególnie wstrętnej demoralizacji.

Sytuacja jest przeraźliwie jasna. Młody Polak, lojalny obywatel Rzeszy, lecz przyznający się otwarcie do swej narodowości, wie zgóry, iż niema właściwie czego

w Niemczech szukać. Wszystko jest tam przed nim zamknięte. Wyższy zakład naukowy, uniwersytet, stanowisko publiczne lub prywatne, słowem wszelki wolny zawód pracownika umysłowego. W jaki sposób zamyka się dostęp młodzieży polskiej do wyższych studjów? Za pomocą niesłychanego upośledzenia, stosowanego na zasadzie rozporządzeń ministerjum nauki, sztuki i wychowania publicznego".

Gdy ktoś nie posiada systemu rządzenia i linji postępowania, uczy się ich przez doświadczenie. Wprawdzie nauka taka drogo nieraz kosztuje, ale i tak dobrze, jeśli nie idzie w las. Sięgnijmy do doświadczeń z terenów ziem wschodnich. Ile się tam błędów popełniło i to zawsze w imię jakiejś „wyższej polityki", z której się potem cichaczem wycofywało! Przypomnijmy koncepcję państwa federacyjnego i szerzenie wskutek tego ruchów narodowościowych. Idźmy od północy na południe: sprawa t. zw. Litwy środkowej i przyłączenie do niej powiatów, wchodzących już w skład Rzeczypospolitej Polskiej, podsycanie ruchu białoruskiego wbrew intencjom miejscowej ludności, którą bez wielkiego nawet trudu można było pozyskać dla polskości, podobna historja z szerzeniem ukrainizmu na terenie województwa poleskiego, podobna na Wołyniu, gdzie wojewodą jest b. minister w rządzie Petlury — p. Józewski. Wreszcie sprawa Ziemi Czerwieńskiej, Podola i Podkarpacia. Polityka ta, nazwijmy ją „liberalną", w stosunku do ziem wschodnich przyniosła, spodziewane zresztą, następstwa. Ubiegłe lata były tam okresem poważnych niepokojów, które musiano tłumić karnemi ekspedycjami wojskowemi i polityką t. zw. „silnej ręki". Wojewodą poleskim został pułk. Kostek-Biernacki. Podobno wyniki tej polityki są, w sensie narodowym, dodatnie. Piszemy „podobno", gdyż ciągła konieczność umieszczania w obozach izolacyjnych działaczów „ukraińskich" świadczy o czem innem. Ale pozornie — spokój jest. Czy na długo? I czy wszędzie? Przecież nawet polityka „silnej ręki" nie jest jednolita. Podczas gdy w Brześciu urzęduje typowy jej przedstawiciel, w sąsiedztwie rządzi w dalszym ciągu p. Józewski...

Przenieśmy się znowu na zachód, zwłaszcza, że analogja wypadków ma iść tak daleko, iż się coraz głośniej przebąkuje o możliwości zastosowania i tam polityki „silnej ręki" w postaci nowych wojewodów.

Gdy brak pokarmu ideowego, którego każdy pragnie obok powszedniego chleba, wówczas się wpada na pomysł spreparowania rozmaitego rodzaju pożywek, któreby oszukiwały organizm duchowy, dając mu złudzenie jakiej takiej strawy. Początkowo eksperyment daje wyniki, można się przecież przez jakiś czas oszukiwać, na dłuższą jednak metę oszukaństwo wyłazi jak owo szydło z worka, mszcząc się w sposób dotkliwy za podsuniętą ułudę zamiast prawdy. Pożywkami takiemi są w ostatnich latach owe liczne legendy, mające odurzać społeczeństwo i podtrzymywać jego poparcie dla rządzącego systemu. Jedną z takich legend jest kult siły, trzymającej „za mordę" wszystko i wszystkich.

Wiara w moc środków mechanicznych idzie wślad za kultem jedynie formy współżycia—państwa, bez względu na jego treść, organiczny związek społeczny — naród. Odsunięcie od głosu narodu i pogrzebanie jego pojęcia w życiu politycznem mści się straszliwie. Nie wyrośnie jakaś ponadnarodowa cywilizacja, ograniczona do ramy granic państwa, a bez siły cywilizacji, którą jest zdolna wytwarzać tylko oddychająca pełną piersią społeczność narodowa, będziemy w najlepszym razie jedynie ciągle partaczami, łatającymi całość od dnia do dnia. W najlepszym razie, gdyż bieg wypadków na ziemiach zachodnich, hitleryzowanie młodzieży polskiej na Śląsku Opolskim, Mazurach i Warmji, a przez hitleryzowanie — niemczenie mówi, iż poczynamy się cofać nawet w naszych prapolskich pozycjach.

B.

# MAJAKI STUDNICKIEGO

(Ciąg dalszy)

JAN: Wróćmy do tej nieszczęsnej Austrji. Ja myślę, że *Anschluss* jest koniec końcem nieunikniony. W każdym razie nie uważam katolicyzmu austrjackiego za siłę dostatecznie równoważną nacjonalizmowi. Co więcej, Rzym może nawet pragnąć *Anschluss*'u, by wprowadziwszy do Rzeszy większą ilość katolików, katolicyzm wzmocnić. Zresztą, jeszcze raz to powtórzę, nie znajduję w mojem sumieniu nacjonalisty objektywnego uprawnień do sprzeciwiania się *Anschluss*'owi.

KAZIMIERZ: Dobrze. Ale w takim razie musisz znaleźć w sumieniu swojem zgodę na to, ażeby, na skutek *Anschluss*'u, potężnie na siłach wzmożona Rzesza niemiecka, podbiła, pożarła, ujarzmiła, stłumiła Czechy, ażeby ze swej strony Madziarzy, o Rzeszę oparci, to samo wyczyniali, ażeby wkońcu...

JAN: Masz rację! Jeżeli udaremnienie *Anschluss*'u byłoby niesprawiedliwością, to stokroć większą niesprawiedliwością byłoby to, czem *Anschluss* grozi. W takich sytuacjach wybiera się *minus malum*. Ale, na Boga, co robić? Dajże radę!

KAZIMIERZ: Sytuacja nie jest beznadziejna. W Austrji jeszcze nie wygasły pewne tradycje. Trzeba tam posadzić kogoś, dla kogo niepodległość Austrji będzie jego własnem „być albo nie być".

JAN: Więc rozwiązanie habsburskie? Ale nie zapominaj o tem, że państwa sukcesyjne wykluczają tę możliwość, bo obawiają się rewindykacyj ze strony wskrzeszonych, choć w minjaturze, Austro-Węgier (bo unja austrjacko-węgierska byłaby następstwem nieuniknionem wskrzeszenia monarchji w Wiedniu).

KAZIMIERZ: Boją się rewindykacyj, ale to krótkowidztwo. Zamiast Habsburga w Wiedniu i Budapeszcie gotowi mieć kogo innego i to o wiele bliżej. Wobec niebezpieczeństw *Anschluss*'u napewno opłaciłyby się jakieś kompromisy ze wskrzeszonemi Austro-Węgrami. Wyobrażam sobie, że zamiast obawiać się monarchji w Wiedniu i Budapeszcie, państwa sukcesyjne powinny raczej myśleć o odbudowaniu w jakiejś formie związku naddunajskiego, którego bez zgody Austrji i Węgier niema i być nie może. Przecież zlewisko Dunaju

jest naturalną, geograficzną i gospodarczą całością, w której jedynie, uczestnicząc, oddzielona od związku z Rzeszą, Austrja mogłaby wybrnąć z ciasnoty swego obecnego życia. Monarchja rakuska miała swą geograficzno-cywilizacyjną rację bytu i nie kto inny, tylko Palacki powiedział, że gdyby jej nie było, toby ją trzeba było stworzyć. Austro-Węgry rozprzęgły się i upadły naskutek tej sprzeczności wewnętrznej, że, będąc państwem o większości słowiańskiej, uprawiać chciały politykę narodową niemiecką lub, jak u Madziarów, filoniemiecką. To też upadek ich był nieunikniony. Ale skoro ten proces słowiańskiego przeciwstawienia się hegemonji niemiecko-madziarskiej został doprowadzony do końca, to dlaczegóżby nie miano popróbować na nowych zupełnie podstawach odbudować to, do czego prą stare konieczności naturalne: dlaczegóżby nie miała powstać jakaś, mniej lub więcej ścisła, federacja naddunajska w nowym stylu, na zasadzie „wolni z wolnymi i równi z równymi"? Pamiętam, że nad Dunajem są Węgrzy, zdaję sobie sprawę, że ta stara enklawa najeźdnicza zawsze będzie tu wadzić. Ale Węgry albo doczekają się *Anschluss*'u, przyłączą się do Rzeszy i wezmą znaczną część Słowian w powrotną, teraz jeszcze twardszą, — bo w stylu XX wieku! — niewolę, albo będą musiały otaczającemu je pierścieniowi słowiańskiemu poddać się i znaleźć jakiś *modus vivendi* — podobnie, jak ze swej strony, państwa sukcesyjne powinny myśleć o tem, ażeby tej rasie obcej, a męskiej i hardej, ten przykry *modus vivendi* jakoś ułatwić. Ale takich porządków nad Dunajem nie będzie, jeśli nastąpi *Anschluss*, *Anschluss* zaś nastąpi, jeśli Habsburg nie wróci do Wiednia.

JAN: Czy przypadkiem w tym Habsburgu nie widzisz jakiegoś cudownego *panaceum* na austrjackie bolączki? Habsburg, któryby, z pomocą zagranicy, był tylko policjantem, mającym strzec swoich Austrjaków przed *Anschluss*'em, zostałby znienawidzony i prędzej czy później wywróciłby się.

KAZIMIERZ: No, więc wracamy do kwestji ideologicznej. Zgadzam się z tobą, że Habsburg czysto mechanicznie na Austrję, jak czop na butlę z fermentem nasaczony, skuteczny ze względu na dany zamiar nie będzie, że monarchja, jeśliby miała zagwarantować niepodległość Austrji, musiałaby uzyskać zgodę opinjotwórczej części społeczeństwa, a do tego trzebaby, ażeby wraz z nią otworzyły się przed Austrjakami nietylko perspektywy szerszego życia gospodarczego, ale i szerokie perspektywy ideowe. Wskrzeszony tron musiałby stać się symbolem jakiejś idei, zdolnej wytworzyć dostateczną odporność na propagandę za zjednoczeniem się z Rzeszą.

JAN: Ależ mój drogi, wszystko to, co proponujesz, może być bardzo pożądane z punktu widzenia sukcesyjnych państw słowiańskich, a pośrednio i z naszego polskiego stanowiska, ale cóż z tego, kiedy ciągle przekreślasz w swych rachunkach patrjotyzm niemiecki Austrjaków, ich godziwą wolę do narodowego zjednoczenia się.

KAZIMIERZ: Przedewszystkiem niewiadomo mi o tem, jakoby wszyscy Austrjacy tak gwałtem pchali się do Rzeszy, Schuschnigg też jest Austrjakiem — i niekoniecznie z pod ciemnej gwiazdy; powtóre wątpię, czy słuszna jest zasada twojego zarzutu, który jest zarzutem moralnym. Prawda, że ty uważasz, iż ci Austrjacy, którzy się do Rzeszy przyłączyć nie chcą, to są jakieś mizerne żywioły, nad któremi prędzej czy później porządni Austrjacy muszą wziąć górę, a ci zechcą pójść za przykładem Saary? Tak?

JAN: Zgadłeś.

KAZIMIERZ: Dobrze. Ale wobec tego potępisz i Szwajcarów niemieckich, jeśli, zamiast rozerwać swoją ojczyznę, z bronią w ręku oprą się kiedyś swoim rodakom z Rzeszy, chcącym ich połknąć. Potępisz ich, czy nie potępisz?

JAN: Zajechałeś mię!... No, ale skorom wstawiał się w sytuację moralną porządnego Austrjaka, to wypada mi, abym uczynił to samo wobec porządnego Szwajcara-Niemca... wiesz? nie czuję w sobie żadnego powodu, dla któregobym jako ten Szwajcar niemiecki, nie miał bronić swoich granic, swojej niepodległości, swojego szwajcarskiego typu bycia, swojej jedności ze Szwajcarami francuskimi i włoskimi.

KAZIMIERZ: Brawo! byłbyś więc prawdziwym patrjotą, prawdziwym „n a r o d o w c e m s z w a j c a r s k i m" (w typie jakiegoś Gonzague de Reynold'a)! Patrjotyzm, względnie nacjonalizm szwajcarski jest nacjonalizmem nie etniczno-lingwistycznym, ale historyczno-politycznym — a ty, jak słyszę, nie odmawiasz mu wartości moralnej. Dlaczegóżby w Austrji nie mógł powstać patrjotyzm podobnego typu i dlaczegóżby, podobnie do patrjotyzmu szwajcarskiego, nie miał być respektowany? Zresztą, niektórzy Niemcy austrjaccy już myślą o ideowej racji bytu Austrji niepodległej.

JAN: Zapominasz, że szwajcarski patrjotyzm polityczny ma za sobą długą historję szwajcarską.

KAZIMIERZ: A kraje austrjackie, czyż nie mają historji?

JAN: Pewnie, że mają, ale nie mają historji tak swoistej i odrębnej, tak godnej pamięci, jak szwajcarska.

KAZIMIERZ: Czy chcesz przez to powiedzieć, że w historji szwajcarskiej wytworzył się pewien szczególny typ bycia, że jednem słowem Szwajcarja zdobyła sobie coś, coby można było nazwać „i d e ą s z w a j c a r s k ą", że ta idea jest integralnym składnikiem patrjotyzmu szwajcarskiego i że idea ta jest tak wartościową moralnie, iż nie może być niemoralnem, gdy się chce raczej w szwajcarskiej jedności, choć z krajami innemi szczepu i innego języka, pozostać, niźli odłączyć się od Szwajcarji i pójść w kierunku wskazanym przez nacjonalizm etniczno-językowy?

JAN: Bodajże tak. Ale czy zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób rozumując, jeśli przestaniesz *casus* szwajcarski uważać za coś zupełnie wyjątkowego i zechcesz wyprowadzać zeń dyrektywy powszechnie stosowalne — to prowadzisz do załamania się nacjonalizmu?

KAZIMIERZ: Nacjonalizmu etniczno-językowego — chcesz powiedzieć. Ale chyba zgodzisz się ze mną na to, że w Polsce (jak i we Francji) „nacjonalizm" nie jest żadnym specjalnym s y s t e m e m, wyłączającym inne wartości kultury, tylko poprostu jakąś p o s t a w ą d u c h a i tylko m e t o d ą czujności narodowej i narodowej troskliwości. A myślę, że nie zaprzeczysz, iż u nas w Polsce idea p a t r j o t y z m u p o l i t y c z n e g o u naszych mniejszości słowiańskich, przynajmniej u tych pomiędzy niemi żywiołów, które chcą pozostać na gruncie życia europejskiego, które nie chcą popaść w bolszewickie jarzmo — chyba nie byłaby tak bardzo n a g a n n ą?!... Chyba nie powiesz, że

Rusin, który oświadczy: „chcę podtrzymać Polskę, bo mam prawo żyć życiem europejskiem, a nie bolszewickiem" — będzie człowiekiem moralnie podejrzanym?

JAN: Jeśli tak czuje, to raczej będzie milczeć. Uzna to za lojalniejsze wobec swoich rodaków.

KAZIMIERZ: Jeśli Polska będzie w niebezpieczeństwie, jeśli więc w niebezpieczeństwie będzie to państwo, które mu zapewnia jedynie, według niego samego, godziwy sposób życia, to nie wystarczy solidaryzować się z tem państwem w milczeniu; są sytuacje, w których milczeć — to tyle, co mówić „nie". Ale do czego ciągnę: Nacjonalizm etniczno-językowy przeorał psychikę europejską tak głęboko, iż wytworzył jedną, niezachwianą pewność moralną, to jest bezwzględne prawo każdego szczepu do samodzielnego tworzenia kultury i to we własnym języku. Ale wiele jest znaków na ziemi i na niebie, że czasy, które idą, będą epoką wielkich, niepogodzonych przeciwieństw poglądu na świat i wielkich zespoleń ideokratycznych. Patrjotyzm etniczno-językowy zostanie jako wartość trwała, ale będzie się komplikował coraz częściej z patrjotyzmem politycznym, a ten znów z ideokracją. Czyli, po polsku powiedziawszy, w przyszłości coraz częstsze będą walki, nietyle między narodami w szczepowo językowem tego słowa znaczeniu, ile między narodami, będącemi uosobieniem jakichś głęboko odmiennych sposobów życia. Będzie to właśnie jednym z objawów owego „nowego średniowiecza", o którem tyle mówią. Ale nie wpadajmy w dyskusję o „nowem średniowieczu", choć byłoby wiele na ten temat do pogadania.

JAN: Kończmy raz z tą Austrją. Otóż ty twierdzisz, że nie wystarczy w Austrji, dla przeszkodzenia *Anschluss*'owi, ustawienie tronu, ale trzebaby, ażeby ten tron stał się symbolem jakiejś idei i to idei tak ponętnej, głębokiej i suggestywnej, iżby powstała stąd ideokracja, mogąca przeważyć patrjotyzm szczepowy i językowy. A ja właśnie wątpię, czy taka ideokracja jest w Austrji możliwa. Jużem powiedział ci, dlaczego nie stawiam w tym względzie na katolicyzm; tembardziej nie postawię na sprzeczność: „demokracja, oligarchja" — zresztą sam już proponowany przez zwolenników monarchji w Wiedniu sposób wyklucza demokrację. Gdzież więc owe głębokie przeciwieństwa ideokratyczne, któreby niemiecki nacjonalizm Niemców austrjackich obezwładniły?

KAZIMIERZ: Przedewszystkiem, co do katolicyzmu, to niczego zgóry przesądzać nie można. Ruch antychrześcijański w Niemczech może przybrać takie nasilenie, że na nic się nie zdadzą wszystkie próby obłaskawienia go, a tym katolikom Niemcom, którzy poza obrębem Rzeszy pozostają, stanie się już całkiem oczywiste, że Rzesza, przez swastykę rządzona, godzi w ich najświętsze wierzenia. To samo odnosi się zresztą i do chrześcijan nie-katolickich, — którzy niejednokrotnie nie gorzej od katolików w Niemczech opierają się — do tych wszystkich zresztą, którzy, choćby nawet dogmatycznie obojętni, z chrześcijaństwa czerpią swoje fundamentalne normy moralne. Są wprawdzie, nawet całkiem poważni, katolicy (jakich i u nas garść), którzy przymykają oczy na przeciwieństwa pomiędzy krzyżem a swastyką; ale swastycy mogą okazać się dostatecznie odważni i konsekwentni, aby wkońcu gwałtem im otworzyć ich przymknięte powieki!

JAN: Więc im gorzej, tem lepiej?...

KAZIMIERZ: Tak, bo trzeba, ażeby były jasne i wyraźne sytuacje. Trzeba się zdecydować, co wybrać (mówię to z własnego doświadczenia): czy nawskroś naturalistyczny (a często, gęsto wprost trywjalny) witalizm („siła znakiem racji"), w jakiejś miszkulancji z pseudo-mistycznym i pseudo-religijnym, w istocie nawskroś laickim, panteizmem, czy światopogląd Krzyża, który jest światopoglądem „prymatu ducha" i wszystkiego, co z tej zasady w dziedzinie moralności wynika. Oligarchiczny totalitaryzm, jako zasada ustroju państwowego, jest i będzie o wiele bliższym bolszewickiego kolektywizmu, niźli tych form ustrojowych, które Europa Zachodnia zachowa — nawet wtedy, kiedy zechce jakoś lepiej zorganizować i uporządkować swoje życie. Myślę, że nawet gdyby król francuski przyszedł, to nie będzie jakimś wielkim Mogołem, co ludźmi dysponuje, jak kurczętami... *Modus in rebus* to jest wszystko.

JAN: A faszyzm? Czyż Włoch nie zaliczysz do Europy Zachodniej?

KAZIMIERZ: Faszyzm jest próbą przerobienia dezertera z pod Caporetto na porządnego żołnierza, jest próbą przerobienia rasy lazzaronów na rasę Scypionów. Ale w najgłębszej swojej postawie faszyzm jest personalistyczny (personalizm ceni osobę człowieka, jako wartość wprost religijną); więc prędzej czy później faszyzm powróci do wolności, naturalnie do jakiejś uporządkowanej wolności, duch zachodni rasy, duch tradycji patrjotycznej napełni instytucje.

JAN: Porządek i wolność! To jest wszystko, czego pragniemy.

KAZIMIERZ: Dodaj: Czego pragniemy my, ludzie typu zachodnio-europejskiego; bo barbarzyńcom albo niepotrzebny porządek, gdyż wolą anarchję, w której się wyżywają, albo niepotrzebna wolność uporządkowana i hierarchiczna wedle hierarchji władz ducha, wolność, z którą nie mają co zrobić. Współczesność cierpi od nieporządków, od anarchji i niesprawiedliwości, ale dotychczas ci, którzy się wzięli stanowczo do robienia porządku, t. j. Moskale i Niemcy, bolszewicy i hitlerowcy, pominęli wolność w swoich planach, a przekreślając wolność, odbierają godność człowiekowi, bo wolność to jakiś *modus* godności; i w ten sposób ich porządek wewnętrznie załamuje się, bo prowadzi do rewolucji permanentnej, do terroru, wydaje jednostkę na łup pierwotnych i drapieżnych instynktów mobu, na którym jedni i drudzy opierają się: oligarchja, która chciała zaprowadzić porządek, ale bez braku] odrzuciła cała wolność, staje się w istocie ochlokracją. I myślę, że w sprawach tych idzie nie tyle o same formy ustrojowe i polityczne, o taką lub inną konstytucję, o monarchję lub republikę, o taką lub inną ordynację wyborczą, takie lub owe kompetencje parlamentu, o kształty specjalne samorządu społecznego — ile o najgłębszą postawę ducha, co napełnia instytucje, o te cele, które się osobie człowieka stawia i o ten respekt, z jakim się człowieka traktuje. Idzie o to, co jest moralnie możliwe, co obyczajowość publiczna zdoła strawić, czego już nie zniesie? Pamiętasz *casus* Mateotti'ego?... Reakcja była zachodnio-europejska...

JAN: Do Niemiec wracając, spodziewasz się więc, że jakaś znaczna część Niemców, którzy do tej pory do Rzeszy nie należą, a którzy do takich

ideałów zachodniej cywilizacji przyznają się, zechcą, choćby nawet byli gorącymi patrjotami niemieckimi, wstrzymać się ze swem przystąpieniem do Rzeszy, dopóki tam będzie przeciwny tym ideałom sposób życia?

KAZIMIERZ: Tak, i w tem widzę rozwiązanie problematu Austrji; ale nie tylko Austrji, bo i całej tej części Europy, która, wciśnięta pomiędzy dwa potężne narody, nad któremi zapanował wschodni typ życia — (bo i swastycki *Totalstaat* to Wschód)...

JAN: ...przypomina mi się, że prof. Koneczny bardzo interesująco wykazywał, ile w dziejach niemieckich działało elementów bizantyjskich...

KAZIMIERZ: ...które teraz znowu przychodzą do głosu, podobnie jak w Rosji odezwały się potężnem echem stare azjatyckie, tatarskie elementy psychiki rosyjskiej. Ale wracam, do czego dążyłem. Otóż stało się tak: Dwa potężne narody, o wielkiej imperjalistycznej dynamice, zostały opanowane przez dwie różne, ale w istocie podobne ideokracje, dzięki którym ich imperjalistyczna dynamika jeszcze bardziej i zgoła niebywale zasiliła się; a pomiędzy temi dwiema imperjalistycznemi ideokracjami jest kilka narodów mniejszych lub całkiem małych, które, jeśli tamtym ideokracjom obronić się mają, jeśli nie mają być zmielone jak między młyńskiemi kamieniami, to cóż im pozostaje? Jak myślisz?

JAN: Naturalnie nic innego, jak tylko związać się jaknajściślej, a związkowi temu starać się nadać równie potężną dynamikę ideową, czyli poprostu stać się jakąś nową ideokracją.

KAZIMIERZ: Poczuć się twierdzą Zachodu, tu, pomiędzy dwoma Wschodami! Uwierzmy w naszą cywilizację, uwierzmy, że, choć zdezorjentowana jest i jakby zmierzchająca, to jednak niespożyte są jej energje, bezcenne jej główne wartości, zdrowe założenia — i że „wszystko jeszcze może być"! — (jak proklamował kiedyś poeta).

JAN: Wszystko dobre — i wszystko złe...

KAZIMIERZ: Idzie poprostu o pewien utwórczy, że tak powiem, „konserwatyzm kultury" — i przekonany jestem, że nie co innego, tylko cyrkulacja tej właśnie idei, tu, na tem międzymorzu Bałtyk—Adrjatyk—morze Czarne, pomiędzy narodami, którym bolszewicka Rosja czy swastyckie Niemcy, czy obie te potęgi razem zagrażają — że tu tylko cyrkulacja tej idei zdolna będzie wespół z instynktem samozachowawczym wytworzyć zespół mniej czy więcej ścisły, ale w każdym razie dostatecznie silny, żeby się obronić: poczucie niebezpieczeństwa narodowego, zmultyplikowane przez poczucie niebezpieczeństwa społecznego i kulturalnego — to jest chyba motywacja dostatecznie realna, ażeby myśl o takim zespole B. P. A. (*Balticum — Pontus — Adria*) uznać za myśl na serjo, myśl potrzebną, może najpotrzebniejszą w tej części Europy. Jeżeli między temi narodami dotychczas niema ożywionych stosunków wszelkiego rodzaju, jeżeli kontakty zewnętrzne tych narodów rozciągają się raczej w równoleżnikowych kierunkach, niźli w tym, proponowanym, kierunku południkowym — to nie jest to żadnym dowodem przeciw tej myśli. Idea może zapłodnić wyobraźnię, która to międzymorze ujmie jako jedną całość, za wyobraźnią pójdą uczucia solidarności, a za uczuciami solidarności współdziałanie, które ową całość geograficzną nakryje i zwiąże w całość dziejową. Naturalnym sojusznikiem tego zespołu, tej b a r j e r y między Niemcami a Rosją, byłyby państwa zachodnio-europejskie, przedewszystkiem Francja. Ale charakter B. P. A. byłby raczej pokojowy, defensywny.

JAN: Chyba że Austrja stałaby się centrem dla krajów katolicko-niemieckich i dla Niemców o mentalności zachodniej. Powtórzyłby się w nowych warunkach antagonizm austro-pruski...

KAZIMIERZ: ...nieszkodliwy dla kultury niemieckiej, nawet korzystny dla niej, a zbawienny ze względu na bezpieczeństwo nasze i Słowian wogóle.

(Dok. nast.) IDEM

# O PRZYSZŁOŚĆ MŁODYCH

SPRAWA przyszłości młodzieży stanowi dziś palącą kwestję we wszystkich krajach. Dawniej każdy, kto kończył szkołę średnią i mógł skończyć uniwersytet, był pewny, że ma zabezpieczoną przyszłość choćby nawet skromną. Dziś stosunki się zmieniły: coraz bardziej wzrasta ilość osób posiadających dyplom ukończenia wyższej uczelni — nie mogących znaleźć zajęcia w zakresie swej specjalności, a nawet żadnego zajęcia, coraz częściej zdarzają się inżynierowie pracujący jako kanceliści, prawnicy jako rządcy domów i t. p. A zarazem coraz bardziej wzrasta ilość studentów w uniwersytetach i innych wyższych uczelniach. Wszędzie uskarżają się na przepełnienie uniwersytetów. A wydawałoby się, że te zjawiska nie powinny istnieć współcześnie. Przepełnienie wszechnic i szerzące się coraz bardziej bezrobocie wśród inteligencji są dziś zjawiskiem powszechnem. W Niemczech rozporządzenie Hitlera określiło kontyngent studentów, który może być przyjęty do uniwersytetów w całem państwie na bieżący rok szkolny. Nie jest to jednak rozwiązaniem zagadnienia, a tylko doraźnem i tymczasowem przecięciem go.

Sprawą nadmiernego liczbowego wzrostu inteligencji we Francji zajmuje się p. Le Châtelier w październikowym numerze „*Famille et Lycée*" w artykule p. t. „Przyszłość naszych dzieci". Daje on tu bardzo ciekawe dane statystyczne, dotyczące wzrostu słuchaczów na uniwersytetach francuskich: od 1814 — 1895 liczba tak wzrosła stokrotnie, lecz był to okres tworzenia się nowoczesnego przemysłu. W 1895 liczba słuchaczów wynosiła 26.944, w r. 1900 mamy już 33.377, w r. 1910 — 41.044; w okresie powojennym nastąpił początkowo ogromny wzrost działalności we wszelkich dziedzinach, wzrasta w związku z tem ilość studjujących w wyższych uczelniach, by dojść w r. 1930 do 73.601, w 1931 r. — 78.674, w 1932 r. — 82.656 i w 1933 r. do 84.658. Toż samo zjawisko widzimy w innych wyższych zakładach naukowych np. w inżynierskich, elektrotechnicznych szkołach przyznano w 1910 r. 400 dyplomów, a w 1929 r. — 900 dyplomów, w szkole górniczej

paryskiej wydano w 1929 r. 80 dyplomów, przed wojną wydano 30 dyplomów.

Na medycynie liczba studentów w 1900 r. dochodziła do 12.171, a w 1932 r. wynosiła już 25.620 tys.

Jakaż możność pracy czeka tych wszystkich, którzy po szeregu egzaminów opuszczają wyższe uczelnie z dyplomami w rękach?

Tu sprawa przedstawia się rozpaczliwie, z roku na rok gorzej. Bezrobocie szerzy się we wszystkich dziedzinach: mamy nadmiar kandydatów w przemyśle, handlu, w urzędach, wśród profesorów i nauczycieli, w księgarniach, bibljotekach, w świecie lekarskim.

Np. w 1932 r. liczba niezajętych nauczycieli wynosiła wśród nauczycieli języków starożytnych— 6, filozofji — 131, języków nowożytnych 260, historji 151, nauk przyrodniczych 248, a w r. 1933: nauczycieli języków starożytnych 47, filozofji 160, języków nowożytnych 305, historji 206, nauk przyrodniczych 366.

Autor, p. Châtelier spodziewa się jednego przynajmniej dodatniego następstwa z tego nadmiaru osób wykształconych, a mianowicie, że w danej dziedzinie będą wymagane studja uniwersyteckie nietylko na miejsca kierownicze, lecz i na miejsca drugo — a nawet i trzeciorzędne. W ten sposób powstał w Niemczech nadzwyczajny dobór pracowników przemysłu chemicznego, gdzie na wszystkich stopniach pracują inżynierowie o poważnej kulturze naukowej. Pan Châtelier uważa to za zysk społeczny i można się z tem stanowiskiem zgodzić, o ile chodzi o pewne dziedziny życia, bo w wielu wypadkach będzie to marnotrawieniem czasu ludzkiego, przyczem człowiek z wyższą kultura umysłową będzie dobrze spełniał jakieś podrzędne czynności w dziedzinie swej specjalności, o ile będzie to robił dla idei. Jeżeli jednak zmusi go do tych podrzędnych zajęć konieczność, wynikająca ze złego układu społecznego, to stanie się to dlań źródłem rozgoryczenia, niechęci i będzie spełniał swą pracę automatycznie, bez energji, a wtedy nie będzie to zyskiem społecznym. Właściwy człowiek na właściwem miejscu jest słuszną zasadą, nie potrzeba np. studjów uniwersyteckich do przepisywania na maszynie.

Trzeba tu przyjść z pomocą młodzieży i rodzicom w sprawie wyboru zawodu, trzeba uprzystępnić szerszemu ogółowi stan gospodarki społecznej, dać możność zorjentowania się, jakie zawody w społeczeństwie są w danej chwili potrzebne i mogą liczyć na rozwój, a które rynki pracy są już nasycone lub przesycone. Nawet w powodzeniu życiowem odgrywa rolę cały szereg czynników: zdrowie, charakter, wytrwałość, energja, umiejętność, stosunki (niestety), nawet szczęście, lecz przedewszystkiem potrzeba społeczna. Sprawa poradnictwa zawodowego, tak dziś się rozwijająca powinna pójść dwiema drogami: 1) od strony jednostki t. zn. drogą badań psychologicznych nad jej uzdolnieniami i 2) od strony wyników pracy, zapotrzebowań społecznych zawodów już istniejących i zawodów, które możnaby powołać i liczyć na ich rozwój. Jest to praca bardzo trudna, wymagająca dużo inicjatywy, energji i wytrwałości, lecz praca nadzwyczaj potrzebna i doniosła — podejmująca celową i planową walkę z bezrobociem inteligencji i zwiększeniem się jej nadmiaru.

Często się zdarza, że młodzież wstępuje do wyższych uczelni tylko dlatego, że odsuwa się w ten sposób jeszcze na parę lat zagadnienie wejcia w życie i walki z niem. Stąd też powstało to hasło obecnej chwili: „miejsce dla młodych", hasło jednostronne, powierzchowne i nic nie rozwiązujące, a społecznie i psychologicznie — szkodliwe.

Nie o miejsce bowiem chodzi, a o złe kierowanie, złe rozplanowanie sił społecznych.

W podobny sposób ujmuje próbę rozwiązania tej kwestji i autor francuski. Chciałby on 1) utworzyć jakiś ogólny urząd pośrednictwa pracy, stale funkcjonujący, któryby zbierał dane o wszystkich rynkach pracy, o zaofiarowaniach i zapotrzebowaniach i te dane ogłaszał; 2) by ten urząd zwracał uwagę rodzin na wszelkie zawody istniejące, omawiał stan nasyceniu rynku pracy każdego zawodu w chwili obecnej i możliwe widoki na przyszłość, 3) by za pomocą stale rozsyłanych ankiet zbierał wiadomości o zapotrzebowaniach w administracji, handlu, przemyśle i rolnictwie. Te wiadomości powinny być naturalnie dostępne dla ogółu.

Dodałabym tutaj, że powinien być wydawany jakiś biuletyn, zawierający zebrane informacje, powinny być w rozmaitych punktach organizowane poradnie, utrzymujące związek z owym urzędem, któreby wyjaśniały rodzicom sytuację i gdzieby można było zasięgnąć rady.

Te tematy powinny być też omawiane w szkołach, z rodzicami i z młodzieżą w ostatnich latach szkoły powszechnej i szkoły średniej. Trzeba te zagadnienia spopularyzować, udostępnić i wyjaśnić. Z mojej praktyki w szkolnictwie mogłam stwierdzić, że w owym pędzie do wyższych uczelni, silniejszym nawet wśród rodziców niż wśród samej młodzieży, działa przenoszenie pojęć z okresu przedwojennego, na chwilę obecną: a mianowicie, że 1) dyplom uniwersytecki daje większą możność zdobycia środków do życia, 2) że tą drogą zapewniają rodzice swym dzieciom zajęcie wyższego społecznie stanowiska, niż sami zajmują. Lecz obok tego przekonania działa tu też zupełny brak orjentowania się, co można dziś robić. Często słyszy się pytanie: „Ah, co ja mam z nim lub z nią robić?" — pytanie na które i dyrektor często nie umie odpowiedzieć. Trzeba, by ktoś wreszcie „wiedział" i mógł poinformować o możliwościach pracy i czekających młodzież warunkach życiowych. W okresie powojennym życie społeczne tak bardzo się zmieniło i skomplikowało, że przeciętny, przepracowany i zmęczony warunkami materjalnemi życia nauczyciel nie może się sam w tem zorjentować, ani tych wiadomości zebrać. Nie może też tego zrobić i sama młodzież, która często idzie za przypadkową radą, przypadkowym przykładem chwilowego powodzenia. Tu trzeba informacyj zebranych fachowo i wszechstronnie, potrzeba koordynacji dokonywanych wysiłków.

Że byłaby ta praca bardzo trudna, to niewątpliwie, lecz niewątpliwie też bardzo potrzebna, byłby to początek racjonalnej gospodarki społecznej. Zaoszczędziłoby się w ten sposób i czasu i zawodów życiowych, uchroniłoby się w wielu wypadkach od rozgoryczeń i załamań, obudziłoby się energję ludzką w kierunku wynajdywania nowych zajęć, zaspokajania nowych potrzeb społecznych. Naturalnie nie przypuszczam nawet, by stworzenie takiego urzędu, takich poradni rozwiązało sprawę odrazu, lecz byłoby jednakże pierwszym krokiem ku temu, jakąś pomocą w dzisiejszej trudnej sytuacji młodzieży.

Nauka w szkołach wyższych i średnich trwa tak długo, że, zaczynając ją, trzeba się dobrze namyśleć, co chcemy i co możemy robić w życiu.

Że sprawa ta jest paląca i u nas, wiemy wszyscy. I u nas wzrasta przepełnienie wyższych uczelni coraz bardziej, n. p. w r. szkolnym 1926/27 ilość studentów wynosiła:

| | |
|---|---|
| na uniwersytetach | 29448 |
| na politechnikach | 5936 |
| w Szk. Gł. Gosp. Wiejskiego | 837 |
| w Akademji Górniczej | 493 |
| na Weterynarji | 385 |
| w Akademjach Szt. Pięknych | 522 |
| w Państw. Instyt. Dentyst. | 358 |
| w Wyższ. Szkole Handl. | 2135 |
| w Szk. Nauk Polit. | 620 |
| razem | 40734 |

a w r. szk. 1932/3 liczby te zmieniły się w sposób następujący:

| | | |
|---|---|---|
| na uniwersytetach | 35548 | + 6100 |
| na politechnikach | 7658 | + 1722 |
| w Szkole Gł. G. W. | 1355 | + 518 |
| w Akad. Górniczej | 522 | + 29 |
| na Weterynarji | 488 | + 103 |
| w Akademjach Szt. Piękn. | 461 | — 61 |
| w Państw. Inst. Dentyst. | 490 | + 132 |
| w Wyższej Szkole Handl. | 3444 | + 1309 |
| w Szkole Nauk Polit. | 1301 | + 681 |
| razem | 51267 | +10533 |

W tym czasie przybyły jeszcze wyższe szkoły: Wyższa Szkoła Dziennikarska, Szkoła Wschodoznawcza przy Instytucie Wschodn. i Wyższa Szkoła Instyt. Naukowego Badań Europy Wschodniej, mieszcząca razem w r. szk. 1932/33—503 uczniów.

Podaję poniżej tabelkę, zawierającą dane co wydanych dyplomów w Polsce w ciągu lat 12 od 1918 do 1931 r.

Ilość dyplomów wydanych przez wyższe uczelnie w latach:

| | Ogółem | teologja | handl. nauki | prawo | farmacja | dentyst. | medyc. | weter. | filozofja | roln. | techn. | inne |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1918/19 | 505 | 8 | | 302 | | | 64 | | 47 | 35 | 28 | 21 |
| 1919/20 | 640 | 27 | | 281 | | | 75 | | 62 | 25 | 49 | 121 |
| 1920/21 | 1055 | 32 | | 318 | | | 120 | | 43 | 50 | 102 | 390 |
| 1921/22 | 1546 | 44 | | 506 | | | 283 | | 76 | 58 | 177 | 402 |
| 1922/23 | 2270 | 75 | | 617 | | | 649 | | 74 | 201 | 252 | 402 |
| 1923/24 | 2477 | 70 | | 804 | | | 586 | | 108 | 317 | 324 | 268 |
| 1924/25 | 3058 | 62 | | 1043 | | | 762 | | 123 | 454 | 335 | 279 |
| 1925/26 | 3641 | 90 | | 1319 | | | 860 | | 180 | 500 | 408 | 284 |
| 1926/27 | 3317 | 67 | | 1434 | | | 577 | | 212 | 273 | 481 | 268 |
| 1927/28 | 3454 | 60 | | 1357 | | | 596 | | 312 | 277 | 540 | 312 |
| 1929 | 4212 | 72 | 170 | 1560 | 164 | 97 | 788 | 59 | 491 | 236 | 548 | |
| 1931 | 4951 | 104 | 352 | 1473 | 187 | 88 | 470 | 153 | 1109 | 221 | 744 | |

Pobieżny rzut oka na tę tabelkę przekona każdego, że rozwój rozdziału zawodów u nas nie jest normalny i nie może odpowiadać właściwym zapotrzebowaniom społeczeństwa.

N. p. czy rzeczywiście mogło tak wzrosnąć zapotrzebowanie absolwentów wydziału filozoficznego, by ilość dyplomów, wydanych przez wydział z 47 w r. 1918 wzrosła do 491 w 1929 r., a przez 2 lata do 1931 r. skoczyła aż do 1109?

Władze akademickie próbują zwalczać przepełnienie w wyższych zakładach naukowych zapomocą utrudnień przy przyjmowaniu, przyczem wprowadza się egzaminy wstępne konkursowe, egz. inteligencji i t. d.

Lecz jest to sposób selekcji bardzo zawodny. Znam jeden wypadek, że na wydział medyczny zdawał pewien kandydat egzamin z inteligencji i nie zdał. Zdążył on w ciągu tego czasu skończyć przyrodę w tymże uniwersytecie, lecz i ten ostatni (czwarty) raz egzaminu z inteligencji nie zdał i wtedy już zrezygnował z dalszych prób. A przytem nie jest normalną rzeczą, by abiturjent, otrzymaszy opatrzoną urzędową pieczęcią maturę, głoszącą, że jest uzdolniony do studjów wyższych, dowiadywał się, że właśnie do tych studjów wyższych na zasadzie tego świadectwa dopuszczony nie będzie.

Trzeba szukać innej drogi dla rozwiązania tego zagadnienia, trzeba rady i pomocy, a nie zakazów.

JUSTYNA JASTRZĘBSKA

# LUDWIK ZILAHY

ZAPEWNE niejeden z czytelników przeczytawszy ten tytuł pomyśli sobie, że to nazwisko już gdzieś słyszał.— Rzeczywiście, kto był w kinie na „Papryce" i uśmiał się na niej porządnie, skojarzy je sobie zaraz z jej platynową bohaterką Iréne de Zilahy. Nie wiem, czy jest ona jaką krewną Ludwika, ale wiem napewno, że jego sława, choć nie taka głośna i rozgłośna, jest o wiele trwalsza i na głębszych podstawach ugruntowana.

Ludwik Zilahy jest bowiem bezsprzecznie jednym z największych dzisiaj na Węgrzech pisarzy; — miałbym ochotę powiedzieć wprost — największym, ale skoro żyje jeszcze Franciszek Herczeg, to „z wieku i urzędu" ten tytuł mu się słusznie należy. Nasz nieobznajmiony ze stanem literatury węgierskiej czytelnik wierzy, że takim jest Körmendi, myląc się w tem stokrotnie. Co inego bowiem przekłady i reklama, a co innego prawdziwa wielkość.

Zilahy, urodzony w 1891 r., pochodzi z kąta Węgier najbardziej chyba w talenty literackie obfitującego, bo z komitatu Bihar, bliższej ojczyzny Pázmány'ego, Kaziuczy'ego, Szigligeti'ego, Arany'ego... a jeśli ująć szerzej, jako jego regjon, ten skraj wielkiej niziny węgierskiej, wciskający się między góry Siedmiogrodu i Marmarosu — to trzebaby tu jeszcze dodać Kölczey'a i Ady'ego, a z dzisiejszych takiego Móricz'a.—Same wielkie imiona, a nieraz i epoki w literaturze.

Zdaje się, że taką epoką będzie i Zilahy, skoro powieść jego uzupełni filozoficzną powieść Gardony'ego i epiczną Herczega swoim zmysłem społecznym, tą socjologicznością, jakiej brak tamtym.

Początek tej świetnej twórczości jest tak przeciętny i typowy, a nawet przez pierwsze sześć lat pisania wręcz tak nieobiecująco skromny, że w niczem nie zdradza przyszłej siły talentu: skończone prawo, służba urzędnicza w komitacie, wielka wojna i stopień oficerski,—milutki tomik wierszy, dziennikarka, drobne komedyjki, farsy—oto *curriculum vitae* i dorobek tych pierwszych lat. Jutrznią przyszłej sławy, jej pierwszą jaskółką jest dopiero powieść „Smiertelna wiosna" („*Halalos Tawasz*") drukowana w 1922 roku.

Ta powieść to jeszcze jednak nie prawdziwy Zilahy, choć równocześnie już i on, bo jej temat—rozterka serca między dwoma uczuciami, wracać odtąd będzie u niego stale. Ale zmieni się styl i spojrzenie autora. Tu jest on jeszcze poetą ze swojego pierwszego tomiku: delikatny, liryczny, pozujący trochę na rozczarowanego, a przedewszystkiem egotyczny aż do niewidzenia niczego za sobą. Zresztą ta powieść, trochę może nawet miejscami naiwna, jakżeż jest prawdziwa w przedstawieniu rozterki zawiedzionego serca, które szukając lekarstwa na nieszczęśliwą miłość, szuka go w drugiej, która powoli staje się tak wielką, że niszczy pierwsze uczucie, gdy ono wraca, niszcząc już wtedy i człowieka, który w tym tragicznym splocie kończy samobójstwem.

I znowu parę drobnych utworów, jakby przerwa w twórczości, aż w dwa lata po „Smiertelnej wiośnie" ukazują się równocześnie świetny zbiór nowel i dramat.

Że Zilahy ze swoją uczuciową duszą nadawał się do noweli, to proste. To też jego „Wiatrak o srebrnych skrzydłach" („*Az ezüstszarnyn szelmalom*") cechuje wdzięk i artyzm niedomówień tak charakterystyczny dla klasycznych nowel, co zresztą leży w samej istocie noweli. Oryginalny zato jest pierwiastek społeczny, silnie zaznaczony i zrozumiany. Człowiek z nowel Zilahy'ego to człowiek społeczny, którego zrozumieć można tylko na tle jego środowiska, w którem niemal ginie. Tak jest choćby w tytułowej noweli, gdzie stary młynarz, czując się pokonanym przez młyn parowy — podpala swój wiatrak dziedziczony po pradziadach i zgłasza się na robotnika do tamtego młyna. Jego dramat, to już dramat nieosobisty, ale społeczny,—kwestja przemiany społecznej, jaką niosą z sobą maszyny; młynarz jest tu tylko symbolem starej tradycji, która ustępuje nowemu życiu, z całem swojem pięknem, nie znajdując już dla siebie miejsca. Tak jest we wszystkich niemal nowelach zbioru, prawie każda z nich, to dramat nietyle samej jednostki, ile ogółu, dla którego ta jednostka jest reprezentacyjna. Nie znaczy to jednak, żeby Zilahy zatracił swoją zdolność introspekcji,—przeciwnie zachował ją w całej pełni i są w jego zbiorze nowele czysto liryczne, jak ta, w której po wielu latach spotyka się nocą w parku dwóch szkolnych kolegów—piękny, ubóstwiany przez kolegów hrabia, któremu życie idzie jak z płatka i brzydki nędzarz pechowiec, mający dosyć marnego życia, zdecydowany na samobójstwo. Hrabia ratuje go od tego rozpaczliwego kroku, daje pieniądze, szepcze słowa otuchy, a gdy nieszczęsny brzydal odchodzi, odbiera sobie życie rewolwerem kolegi. Stary motyw że „pozory mylą" że szczęście to nie bogactwo—zyskał tu jeszcze jedno świetne opracowanie.

Pierwszy wielki dramat Zilahy'ego „Słońce świeci" („*Süt a nep*") jasno wyznacza już kierunek jego dalszej twórczości i jednoczy w sobie te wszystkie rysy, które ją będą cechowały: szczęśliwie połączony dar subtelnych, uczuciowych analiz i dyskretnych niedomówień—z umiejętnością charakterystyki środowiska i oceniania zjawisk społecznych. Ta smętna, choć uderzaiąca w ton optymistyczny idylla wiejska, kreśląca upadek *gentry* i jej zastępowanie przez dorabiających się chłopów (temat coś jak „Wiśniowy sad" Czechowa), pełna wdzięku i mgiełek, przypomina wyraźnie Szaniawskiego, który, jak Zilahy, ma zmysł społeczny i jak on jest filozoficznym lirykiem.—„Most", „Fortepian" to przecież sztuki równie społeczne jak analityczno-psychologiczne—obu tych pisarzy łączy wybitne pokrewieństwo duchowe.

Rozszerzywszy zakres swoich zainteresowań z człowieka na człowieka i społeczeństwo, Zilahy powoli coraz bardziej staje się społeczny; ciężar gatunkowy jego utworów staje się coraz większy—problemy, jakie one obejmują, coraz liczniejsze. Wpływa na to, być może, wytężona praca dziennikarska, bo Zilahy, przedziwnie wszechstronny, jest nie tylko poetą, powieściopisarzem i dramaturgiem, ale także utalentowanym publicystą.

To też talent Zilahye'go nabiera coraz bardziej cech publicystycznych — i tu znowu mam ochotę ucieo się do innego (mającego zresztą sens czysto orjentacyjny) porównania z Prusem. Jak „Emancypantki" są, co już ich tytuł wskazuje, powieścią o pewnem zagadnieniu, jak „Faraon" obchodzi się doskonale bez intrygi miłosnej, która w nim gra rolę tylko uboczną — tak „Dwu jeńców" („*Két fogoly*") a zwłaszcza „Dezerter" („*A szökelrény*" i „Gasnąca dusza" („*Az elhalo lélek*") są powieściami nie o ludziach i ich miłości, ale o wojnie, narodzie czy ideach. Bohaterowie tych powieści giną poprostu w złożoności świata, w jakim żyją. Są to jednostki przeciętne, szare, — ich losy nie są niczem nadzwyczajnem, znaczą one poprostu tylko dlatego, że z takich właśnie jednostek składa się społeczeństwo, że jest to ten „szary człowiek" o którym wciąż się mówi.

Jeszcze w „Dwóch jeńcach" oba pierwiastki—indywidualistyczny i społeczny się równoważą. Stara historja walki uczuć ma tu jednak głębszy sens, a jest też i inna niż w „Smiertelnej wiośnie", bo gdy tam dobrowolnie idzie się na spotkanie nowej miłości, by starą zabić—to tu się z nią walczy, bo rozdzieleni od siebie wojną i niewolą mąż i żona chcą do siebie należeć, są niewolnikami swoich wspomnień i swojej wierności, walczą z nową miłością, której wkońcu ulegają, zmuszeni przez dwie wielkie potęgi — czas i przestrzeń.

Niema już jednak tego ani w „Dezerterze", ani w „Gasnącej duszy". W „Dezerterze" właściwą bohaterką jest wojna i ten przełom, jaki z sobą przynosi. W wirze wojny, rewolucji, rozbioru Węgier, wojny domowej — gubi się wprost konwencjonalny bohater. Tam „gdzie walczą narody" jednostka stała się pyłem, gdzie cały świat się wali, by dać miejsce nowemu, — jej dramaty są dziwnie małostkowe. To też zagubiony w tem wszystkiem bohater, rozczarowany i znużony, kończy samobójstwem (motyw u Zilahy'ego częsty), a ten jego dramat to tylko wyraz tego, co się wokół dzieje; odruch jednostki, która do nowych warunków dostosować się nie potrafi.

„Gasnąca dusza" to powieść o narodzie, o stosunku człowieka do narodu. Mistrzowsko odtwarza w niej Zilahy powolną śmierć duszy, wyrwanej

ze swojego gruntu, przeniesionej na obcą glebę. Młody emigrant zostaje powoli wchłonięty w życie amerykańskie, traci swą duszę, tonie poprostu w wielkiem—obcem morzu; nic nie zostaje z jego dawnych wierzeń i ideałów — zginął w niem całkiem. Jest to prawdziwa śmierć jego duszy, bo człowiek pełnię swych możliwości osiągnąć może tylko w ramach swego narodu — przerzucony na grunt obcy — więdnie i usycha, — zwłaszcza taki prosty człowiek, który czemś jest właściwie tylko w masie.

Z licznych dramatów Zilahy'ego oprócz „Słońce świeci" wyróżniają się jeszcze, bodaj najlepszy ze wszystkich „Biały jeleń" („*A fehér szaraos*") oraz „Ognisty ptak" („*Tüzmadar*") i „Dwunasta godzina" („*Tizenketledik óra*").

„Biały jeleń", najgłębsze chyba ze wszystkich dzieł Zilahy'ego, nie został zrazu zrozumiany. Jest to jedyna jego sztuka, która nie doczekała się powodzenia i padła po paru przedstawieniach, sprowadzając nadto rozliczne gromy na głowę autora, którego posądzono o „szarganie świętości". Tymczasem to prawdziwy dramat narodu węgierskiego, tragizm jego rozbioru i poszukiwanie dlań dróg odrodzenia i ratunku—śladów owego legendarnego jelenia, który, jak wieść głosi, miał przed wiekami zawieść Węgrów do ich pierwszej ojczyzny w stepach turańskich. Dramat ten odbija także bezustanną walkę młodych i starych—świętego zapału i ostrożnej trzeźwości, słowem tych ciągłych przeciwieństw, między któremi wiecznie człowiek musi wybierać. To są ideje tej sztuki — jej treść to dola rzuconych na bruk peszteński rozbitków z ziem zabranych, i ich trud w walce o nowe życie. Zilahy, sam pochodzący z terytorjum dziś przyznanego Rumunji, szczególnie odczuwa tę tragedję i dla nas zrozumiałą — nie już przez jakieś analogje z przeszłości, ale przez teraźniejszość kresowców, pozbawionych także bliższej ojczyzny w straszniejszy jeszcze sposób i zmuszonych także walczyć z przeciwnościami losu.

„Ognisty ptak", grany dwa lata temu w Warszawie pod tytułem „Pokój na trzeciem piętrze" i „Dwunasta godzina" łączą się nietyle tematami, ile postawą autora, który w obu chce odmalować i wytłumaczyć wielką tragedję dzisiejszego świata. Pierwszy obrazuje bezdroża obyczajowe wielkiego miasta i dlatego może został przez reżysera teatru kameralnego zrozumiany jako sztuka o posmaku sensacji, gdy tymczasem autorowi nie o to wcale chodzi. Druga maluje tło szerzej i sięga dalej,—jest w niej cała djagnoza kryzysu—wojna, pokój, technokracja, eugenika... wszystko tu jest potrącone. Bogactwo shawowskie, ale nie shawowska manjera. Brak tylko odpowiedzi — niema wskazania dróg wyjścia. Przeciwnie — sztuka się kończy dręczącą zapowiedzią chaosu, skoro apostoła pokoju zwycięża apostoł wojny — i jedno, co autor widzi w przyszłości, to nowa wojna i nowy zamęt, ale czy twórczy?

Widać z tego wszystkiego, że Zilahy nie wypowiedział jeszcze swego ostatniego słowa, że przed jego twórczością odkryły się nowe horyzonty, że natrafił na pytania, na które jeszcze nie sformułował sobie odpowiedzi, że szuka nowego świata... Należy się więc spodziewać od niego dzieł pełniejszych i doskonalszych, niż dotychczasowe i prób rozwikłania dręczących zagadnień bytu cywilizacji i narodów.

KAROL STEFAN FRYCZ

# M A J

Gdziekolwiek się obrócę,
Wciąż słyszę i sam nucę:
MARYSIU, MARYSIU!

Wszystko dokoła śpiewa,
Kwitnące szumią drzewa:
MARYSIU, MARYSIU!

Wiśniowe, srebrne sady
Śpiewają serenady:
MARYSIU, MARYSIU!

Z jabłoni, grusz, czereśni
Wtór płynie do tej pieśni:
MARYSIU, MARYSIU!

W pasiece brzęczą pszczoły,
W lesie kują dzięcioły:
MARYSIU, MARYSIU!

Słowiki i skowronki
Dzwonią we wszystkie dzwonki:
MARYSIU, MARYSIU!

A łąka cała rada
Barwistym kwieciem gada:
MARYSIU, MARYSIU!

Niech pryśnie urok słodki,
Dosyć już mam tej zwrotki:
MARYSIU, MARYSIU!

Powrócę do Warszawy,
Tam zgłuchnie pośród wrzawy:
MARYSIU, MARYSIU!

A w drodze wagon woła
Rytmicznym stukiem koła:
MARYSIU, MARYSIU!

Biednaż ta moja głowa,
I w mieście słyszę słowa:
MARYSIU, MARYSIU!

W turkocie i hałasie
Wyraźnie słyszę, zda się:
MARYSIU, MARYSIU!

Głośniki, gramofony
Krzyczą na wszystkie strony:
MARYSIU, MARYSIU!

Zamiast: pantofle! piasku!
W przekupniów słyszę wrzasku:
MARYSIU, MARYSIU!

Zamiast: rzodkiewki! raki!
Rozbrzmiewa refren taki:
MARYSIU, MARYSIU!

Wstępuję do kościoła,
Tam chyba nikt nie woła:
MARYSIU, MARYSIU!

Gdzieżtam: huczą organy
I sam ksiądz rozigrany,
MARYSIU, MARYSIU!

Miast modłów po łacinie,
Śpiewa o mej dziewczynie:
MARYSIU, MARYSIU!

Niema już dla mnie ciszy,
Wszędzie me ucho słyszy:
MARYSIU, MARYSIU!

Nawet w nocy ze spania
Zrywam się od wołania:
MARYSIU, MARYSIU!

...Może w tem cała sztuka,
Że to w sercu mi puka:
MARYSIU, MARYSIU?

ARTUR CHOJECKI

# NA WIDOWNI

Śnieg majowy i polski pierwiosnek. — Północ mrozem dmucha. — Ataki masonerji na psychikę polską. — Absurd miłowania Ojczyzny. — Faryzeusze proponują Kościołowi sojusz. — Germanofilizm rozbraja Polskę. — Parszywe czasy.

OPINJA w Polsce bywa łatwowierna, jak pierwiosnek, zawiele ma ufności w dobroć natury ludzkiej, nie umie walczyć z prądami, niosącemi zniszczenie. Próżno przestrzegać serca, łaknące wiosny:

„Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha...”

Nie wierzono, żeby w maju mróz mógł ścisnąć, tymczasem ścisnął i wielkie szkody zrządził. Tegoroczne w maju zawieje śnieżne i mrozy są symboliczne. Słońce swoje, śnieg swoje, a w związku z tem następują wydarzenia w tę naszą wiosnę, które jak lawina śniegu spadają na głowę. A dusze się warzą, jak listki na drzewie. Oczywiście wiosna zwycięży.

Widziałem babę, którą trzasnął w głowę i białą czapką okrył spadający z dachu śnieg (w dniu 3 maja!). Widocznie zrobiło to jej różnicę, bo się zatoczyła, a jednak się uśmiechnęła:

— To nic — powiada. — To wiosna!

Gorzej, gdy takie figle ludzie wyrządzają społeczeństwu. Tutaj nie można stale być pierwiosnkiem, trzeba reagować. Atak zła ze strony ludzi pociąga za sobą winę tych, którzy złu nie sprzeciwili się. To nie jest dopust Boży, na który niema rady; w społeczeństwie zawsze wszyscy są winni wszystkiemu: jedni, że źle robią, drudzy — że nie przeciwdziałają.

Mam na myśli powtarzające się coraz gęściej i natarczywiej ataki masonerji na naszą kulturę narodową. Śpieszą się, coraz bezczelniej wgłąb duszy sięgając, w mniemaniu, że grunt po temu dostatecznie przygotowany. Szczególnie niepokojące są próby wyzyskiwania w tym celu urządzeń, o które naród walczył, widząc w nich rękojmię swobodnego rozwoju w przyszłości. Pokazuje się, że to wszystko było zdobywane po to, aby jakimś siłom bezimiennym dać sposoby eksperymentowania naszą psychiką.

Od pewnego czasu trwają bezustanne ataki na naszą kulturę duchową. Znaleźli się ni stąd ni zowąd nowych dróg ducha apostołowie, o których niktby przedtem nie myślał, że sami mają duszę, przynajmniej zainteresowania, sięgające w świat ducha. Zachciało im się naraz reformować kulturę. Polska kultura niepodoba się im nietyle z poziomu, ile z kierunku i barwy. Życie stawia przed oczyma działaczy społecznych palące zagadnienia bytu, wśród których są takie jak kwestja chleba, kwestja bezpieczeństwa zewnętrznego. Wszystko to głupstwo: my chcemy — powiadają — zmienić typ kultury, ba! — chcemy zmienić psychikę polską.

Zmobilizowano powieściopisarzy, uczonych w kulturze, historyków, starych pisarzy (odgrzewanych sztucznie masonów), aby pisali pamflety i różne brednie o głupiej rzekomo psychice polskiej, która jak pierwiosnek kiedyś zakwitała, ale teraz jest „do luftu”. Teraz duszę trzeba inaczej standardyzować, na innych zasadach, nie wiadomo jeszcze na jakich (pracują nad tem znawcy w lożach), ale w żadnym razie nie na bogoojczyźnianych.

Pisałem w tem miejscu niedawno o książce prof. Bystronia „Megalomanja narodowa”. Jego to jest pomysłem posianie nieufności między Kościołem katolickim a narodem polskim, jakoby Polacy formułą odwieczną „Bóg i Ojczyzna” wciągali Kościół w partykularyzm i w zażyłość z „poganizmem”. Za tą wskazówką idą teraz publicyści. Oto w „Słowie” wileńskim (nr. 109) w artykule naczelnym ktoś wstydliwie ukryty pod pseudonimem pisze:

„Katolicyzm i nacjonalizm! Starano się u nas te dwa pojęcia połączyć w znanem haśle: Bóg i Ojczyzna. Trudno było jednem zdaniem bardziej obniżyć znaczenie religji i Kościoła. Trudno było bardziej uderzyć w uczucia ludzi prawdziwie wierzących”.

Organ konserwatywny wypiera się tradycyj ideału narodowego, wypiera się tej żywej prawdy, która dawała moc duchową narodowi w najcięższych próbach dziejowych, dając mu takich bojowników, jak Skarga lub Kordecki, i nie może się teraz w odrodzonej Polsce nadziwić, skąd się wzięło tak potworne połączenie: Bóg i Ojczyzna!

„I narówni z Prawdami najwyższemi, źródłem pociechy, źródłem otuchy, źródłem miłości stawiać najciaśniejsze, najbardziej prostackie teorje nacjonalistyczne!”

Nie myślcie, że ten faryzeusz ma na myśli jedynie jakiś specjalny „nacjonalizm” swastyczny, który dawniej nazywał się hakatyzmem. Bynajmniej. W „Słowie” panuje wielka miłość dla Niemiec. Jest tu mowa poprostu o patrjotyzmie, zwyczajnem uczuciu miłości Ojczyzny. Ileż to ognia masonerja wkłada w ideję „regjonalizmu” powiatowego! Patrjotyzm podaje teraz za „najciaśniejszą”, „prostacką” ideę.

Przeczytajmy uważnie poniższą cytatę, ile tam obłudy i oszukańczego podstawiania pojęć:

„Tak, miłość ojczyzny jest piękną rzeczą, jest rzeczą wrodzoną, jest rzeczą naturalną, jest rzeczą konieczną — ale czyż może zająć miejsce (?) Prawd wiekuistych, najgłębszej filozofji i najwyższej etyki, którą daje religja? Tak, każdy z nas jest i musi być patrjotą, każdy minister stanu musi dbać przedewszystkiem (!) o interesy swego kraju — ale czyż wszelka gloryfikacja własnego narodu, jego deifikacja, jego kult nie wprowadza w konsekwencji niesłychanego zubożenia dusz ludzkich? Nie wyjaławia ich z uczuć szlachetnych, nie redukuje ich świata myśli do jakichś śmiesznie ciasnych granic? Czyż nacjonalizm nie musi logicznie doprowadzać do nienawiści innych narodów, do rozbicia tej powszechności ludzkiej, o której uczy Kościół, czyż w ostatecznej konsekwencji nie musi doprowadzić do wojen?”

Do czego ten bieg myśli prowadzi, mamy dowód w pobieżnem napomknieniu o mężu stanu, który, ulegając przykremu obowiązkowi, „musi dbać przedewszystkiem o interesy swego kraju”. O czyjeżby — u licha — interesy miał dbać?! Ale muszę wyznać, że gdyby ten mąż stanu miał tyle zastrzeżeń co do miłości Ojczyzny, to niebezpiecznie byłoby zawierzać mu troskę o „interesy kraju”. Czy onby ich nie przehandlował?

Propaganda przytoczonych wyżej poglądów nastręcza szereg refleksyj. Przedewszystkiem, do jak niskiego poziomu umysłowego i moralnego dotarliśmy, tracąc z oczu linję dziejową! Aniśmy się obejrzeli, kiedy konsekwentnie wyklinać trzeba hasło Krasickiego (właśnie w czasie święcenia jubileuszu tego kapłana): „Święta miłości kochanej Ojczyzny!” — hasło, które tak niedawno wypisywaliśmy na ścianach szkół rycerskich. Zapewne, odczuwać miłość Ojczyzny mogą tylko „umysły

poczciwe", nie dziwimy się też ludziom „sroce z pod ogona", że jej nie mają, ale jakiż z tym brakiem połączony jest upadek ducha, dobrego smaku i wiedzy! Autor cytowanego artykułu potrafi sięgać, dla uzasadnienia swoich tez, do takich argumentów:

„A polscy nacjonaliści, czy są lepsi? Czy chcą uznać, czy chcą choćby pamiętać, że Kraków, że Wawel, że biblioteka Jagiellońska — to dzieło włoskich architektów, że kościół Marjacki budowali Niemcy, że Warszawę budowali znowuż Włosi i Francuzi, że Konstanty Ostrogski był Rusinem, że ludziom obcej rasy, obcego pochodzenia tyle nasze dzieje, nasza kultura, nasz nawet charakter narodowy zawdzięczają?"

Polak XX wieku takich argumentów musi wysłuchiwać z trybuny publicznej od przewodników społeczeństwa. Bo istotnie — powiadają oni — co za nonsens przywiązywać się do narodowych jakichś samoistności i to właśnie teraz,

„kiedy różnice narodowe sprowadzają się do minimum, bez mała tylko, do języka. Jeszcze sto lat temu, obyczaj, mentalność, ustrój, wychowanie, światopogląd Francuza, Anglika, Niemca, Polaka były niezmiernie różne. Ale dzisiaj? Dzisiaj noszą te same bawełniane ubrania, korzystają z tych samych narzędzi, czytają bliźniaczo podobne gazety, używają tych samych rozrywek. Doniepoznania jedzą prawie to samo, boją się tych samych nieszczęść: wojny, bezrobocia, podatków. Ich życie jest dyktowane temiż wynalazkami technicznemi, korzystają oni z tychże dobrodziejstw medycyny, uczą się nieraz u tychże źródeł wiedzy i nauki"...

Pisze się takie rzeczy dla propagandy wśród umysłów niewybrednych, ale nie dziwiłbym się bynajmniej, gdyby się pokazało, że to pisze uczony historyk kultury, bo teraz taki poziom. Przecież prof. Bystroń w swojem wielkiem dziele naukowem dowodzi, że werset poety „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie" — jest dowodem polskiej megalomanji narodowej.

Inna znów refleksja: czem się dzisiaj różni w tej sprawie organ konserwatystów polskich od organów komunistycznych? Czy dajmy na to „Naprzód" żyda Haeckera śmiałby przed laty tak cynicznie kosmopolityzm propagować?

A wreszcie trapi mnie myśl, czem Kościół Katolicki w Polsce w swojej polityce upoważnił masonów, że mają odwagę wciągać go w tak głupio pomyślaną intrygę. „Słowo" konserwatywne stawia Kościołowi Katolickiemu propozycję zerwania z obozem narodowym, jako największem dla niego niebezpieczeństwem, a zawarcia natomiast tolerancyjnego kompromisu z obozem radykalnym i kosmopolitycznym.

„Kościół katolicki był namiętnie i najniesłuszniej zwalczany przez partje t. zw. postępowe, demokratyczne, lewicowe. Stąd nieraz odnosi się błędne wrażenie, jakoby był sprzęgnięty z nacjonalistami. Oczywiście, Kościół nie może być nigdy narzędziem jakiejś partji. Ale co więcej Kościół reprezentuje, już z mocy swego posłannictwa i z nauki swego Boskiego założyciela, dwie ideje, które są i będą zawsze podstawą każdego postępu i każdej demokracji: ideję powszechności, a więc ideję *par excellence* międzynarodową, i ideję indywidualne go zbawienia, a więc ideję praw jednostki w przeciwstawieniu do praw zbiorowości".

„Nacjonalizm jest największem niebezpieczeństwem współczesnego świata. Grozi zagładą praw jednostki, grozi niesłychanem zubożeniem duszy ludzkiej, grozi rozsadzeniem wszelkiej międzynarodowej wspólnoty, grozi wreszcie katastrofą nowej wojny powszechnej. Na czele tych licznych sił, które nacjonalizm zwalczają, powinien wystąpić Kościół katolicki"...

Oferta niedwuznaczna. Oczywiście publicysta, czy mąż stanu, który to pisze, dba „przedewszystkiem o interesy swego kraju" — (Polskę ma na myśli, najbliższe wybory). Że nie o hitleryzmie mowa, to pewna, boć przecie „Słowo" jest organem tych czynników, które propagują zamianę sojuszu z katolicką Francją na sojusz z Niemcami (Ob. wyżej artykuł p. t. „Majaki Studnickiego"). Ze względu na tę orjentację „Słowa" nie wyrażam nawet zdziwienia, że pismo to z taką ufnością w przyszłość patrzy, iż rozbraja Polaków z jedynej poważnej siły odporu, jaką mają w swoim patrjotyzmie, w swojej ambicji zachowania bytu niepodległego...

Z ogniska cywilizacji polskiej, które naszej kulturze duchowej dało prawodawcę idei narodowej, Mickiewicza, rozchodzi się dzisiaj głos pogardy dla uroszczeń patrjotycznych do jakiejś odrębności narodowej. Wilno śmieje się z tych pretensyj, bo przecież Polak ubiera się w takie same bawełniane ubrania, jak żyd, czy Niemiec, czy bolszewik, jada to samo, te same spełnia funkcje fizyczne. Polak dzisiaj ma myśleć materjalistycznie i to stanowisko nie przeszkadza mu z gestem faryzeusza tentować duchowieństwa katolickiego do wspólnictwa. Złe to muszą być czasy, kiedy w interesie żydów (boć to dla nich cała ta robota) można publicznie czynić takie próby. Trentowski mądrze pisał (1843):

„Godniejszy wzgardy radykalizm ten, co chcąc tem niezawodniej burzyć historyczność polityczną, kryje się za świętą powagę historyczności religijnej. On pragnie wierny lud pański zdobyć dla siebie i dlatego robi wiarę swem politycznem narzędziem".

Parszywe to muszą być czasy, kiedy Polacy naśladują w wynarodawianiu dawnych zaborców i tak samo jak oni dziwują się patrjotyzmowi, gdy dąb wieczysty, sadzony ręką Chrobrego, pozwala się traktować, jak pierwiosnek, któremu wolno na wiosnę się uśmiechnąć, ale też może być lada podmuchem mrozu zlikwidowany, bo „dni jego są, jak dni motylka"...

ZYGMUNT WASILEWSKI

# GŁOSY

KLUB PARLAMENTARNY stronnictwa rządzącego (BBWR), odgrywający — w dzisiejszych nienormalnych stosunkach — rolę izb prawodawczych, zawiadomiony został przez szefa rządu o zasadach, na jakich oprzeć się ma przyszła ordynacja wyborcza do sejmu i senatu. Jak okazuje się, rozstrzygający głos w przyszłych wyborach ma być oddany przedstawicielom samorządów (przedewszystkiem, oczywiście, samorządu terytorjalnego).

Groteskowość położenia w tem przedewszystkiem się przejawia, iż właśnie obóz, rządzący dziś, głosił ideologję, że z samorządów usunąć należy wszelką politykę i ta myśl właśnie stanowiła wytyczną wprowadzonej niedawno ordynacji wyborczej dla gmin miejskich i wiejskich. Twierdzono stale, że dla dobrego załatwienia spraw lokalnych, nie trzeba zgoła interesować się sprawami ogólnemi i śmieszne byłoby — przy wyborach gminnych w Pipidówce — oceniać wartość kandydatów według sposobu, w jaki ujmują i rozumieją zagadnienia ogólno-państwowe. Politykę miano pozostawić sejmowi, samorządy uznano tu za niekompetentne — któżby pomyślał, że im, wobec takiego ujęcia ich roli, przyzna się kompetencję... wyznaczania do tegoż sejmu kandydatów?...

Nie trzeba węszyć w tem planu wprowadzenia w błąd opinji, wydaje się raczej niewątpliwe, że obóz rządzący wogóle nie ma określonych poglądów w zakresie zagadnień ustrojowych, że zatem zmienia je, i to zasadniczo, w przeciągu kilku miesięcy, tak iż np. w kwestji roli politycznej samorządów fundamentalne pojęcia uległy w ostatnich tygodniach—pod wpływem chwilowego wyrachowania taktycznego—zupełnej katastrofie. Mamy tu przeto poprostu do czynienia z jedną jeszcze, typowo konjunktualną próbą, której trudno nawet dawać pozór... urzeczywistniania jakichś zasad, jakiejś ideologji.

# NAUKA i LITERATURA

## DIONIZY PASZKIEWICZ

MICHAŁ BRENSZTEJN „Dionizy Paszkiewicz, pisarz polsko-litewski na Żmudzi w pierwszej połowie XIX wieku", Wilno 1934, wydaw. Tow. Pomocy Naukowej im. Wróblewskich, str. 112 z ilustracjami.

W życiorysie i portrecie literackim tego żmudzkiego szlachcica herbu Radwan odmienny, pisarza rosieńskiego, ziemianina, „zabawiającego" się historją i poezją, ukazuje autor fragment ówczesnych, w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, stosunków kulturalnych. Na wsi, w Bordziach, leżących niedaleko od Kroż przy trakcie z Rosień do Girdyszek, między miasteczkami Niemokszty i Kołtyniany, Paszkiewicz, samouk, miłośnik książek i przyrody, wyraża swojskim wierszem swe uczucia narodowe i religijne.

„Żarliwy patrjota" — pisze autor — „i jakby go dziś nazwano, regjonalista żmudzki, cały pochłonięty legendą świetnej przeszłości, uwielbiający bohaterów mitycznych i rzeczywistych, marzy o wyniesieniu mowy litewskiej z cieniów kurnej chaty chłopa żmudzkiego pod dach dworu szlacheckiego. Popularyzuje więc ją przy każdej nadarzającej się okazji, używając narówni z polską, czy to w poważnym utworze poetyckim, czy to w wierszyku żartobliwym, liście przyjacielskim, ba! nawet w artykule naukowym, o przeszłość kraju potrącającym. I to było charakterystyczną cechą jego działalności pisarskiej, że, traktując oba języki równorzędnie, to w jednym, to w drugim myśli swe wyrażał".

W miarę jak zapoznaje się z dziełami poetów epoki stanisławowskiej i studjami naukowemi czasu sobie współczesnego rozszerza się zakres jego ambicji. Gromadzi w swym dworku zbiory średniowiecznych zbroi i numizmatów, otacza opieką tysiącletni dąb Baublis i snuje wywody historjozoficzne. Ta rzekoma, w dobrej woli poczęta, naukowość staje się przedmiotem drwin wileńskich „Wiadomości brukowych". Michał Baliński, magister filozofji, uczeń i przyjaciel Lelewela, ciętym dowcipem przedstawił pracę poczciwego samouka w komicznem świetle. „Pan Giark-Alans (Piwopij)" — pisze — „obywatel żmudzki, wielki antykwarjusz, przypomniawszy sobie, że jego przodkowie wywodzą się z Babilonu, wybrał się tam i w świeżo odnowionej wieży babilońskiej osobiście znalazł łyżkę drewnianą samego Żemlaytisa (protoplasty narodu), którą on jadał sławne po dziś „Szupienie" i ten nieoszacowany skarb przywiózłszy do kraju podarował do Baublisa, poczem napisał w języku żmudzkim i wydał w jednym tomie *in* 4-to opis swojej podróży, z 12-u rycinami, wyobrażającemi historyczną łyżkę". Urażony badacz odcina się krytykowi równie dowcipnie i nie ustaje w pracy.

Pisze wiersze i rozprawy na temat przeszłości, układa słownik języka litewskiego, polskiego i łacińskiego, co, bez kwestji, przyczynia się do upowszechnienia badań w sferze językoznawstwa i historji. Drukuje swe artykuły w „Tygodniku Wileńskim", koresponduje z Czackim, tłumaczy wiersze polskie na język litewski i opracowuje, w zależności od anonimowego wiersza „Chłop polski", swój dydaktyczno-społeczny poemat „Chłop żmudzki i litewski".

Tak ten poemat, jak i zamieszczone w studjum inne wiersze, listy i testament Paszkiewicza, z doskonałemi komentarzami biografa, ukazują dominujący na Kresach Wschodnich wpływ kultury polskiej i składają się na żywy, nadzwyczaj interesujący, obraz minionych czasów.

A. W.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W Bibliotece prac polonistycznych Koła Polonistów słuchaczy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie ukazało się studjum Władysława Arcimowicza p. t. „Cyprjan Kamil Norwid na tle swego konfliktu z krytyką" (S. 175. Skład gł. w Domu Książki Polskiej).

O zakresie książki mówią tytuły rozdziałów: 1. Na łonie rodzimego romantyzmu, 2. Na drogach samodzielnego myślenia, 3. *Obiit—hic natus est,* 4. Między hr. Henrykiem a Pankracym, 5. Powrót od polityki do sztuki, 6. „Ołtarz już kresem jest samoistnego sztuki bytu", 7. Pamiętnik artysty.

W literaturze, poświęconej Norwidowi, praca Arcimowicza zajmie poczesne miejsce. Jest to historja myśli Norwida, myśli mistycznej, skazanej na ciągły konflikt z obowiązującemi współcześnie poglądami, do których Norwid, przemawiający ze stanowiska „prawdy bezwzględnej" przystosować się nie mógł. Bardzo ciekawe są rozdziały, dotyczące przemiany pojęć filozoficznych poety w stosunku do nauki Kościoła katolickiego (od r. 1846) oraz dotyczące stanowiska jego wobec bieżących zagadnień politycznych.

Studjum Arcimowicza wiele wyjaśnia, dlaczego los Norwida był tak ciężki, jako myśliciela i człowieka. Norwida ambicją była propaganda prawdy bezwzględnej, z której nie umiał się wytłumaczyć. Inicjatywa jego w tym kierunku ginęła nie uznnna, i „gdyby nie talent poetycki"—konkluduje autor —„nie wiedzielibyśmy i dziś nic o niej, chociaż poeta więcej ją cenił od talentu i gniewał się, gdy nie ona, lecz talent jego zwracał na siebie czyjąkolwiek uwagę".

Dokonana objektywnie i solidnie praca Arcimowicza dobrze uzupełnia się z książką Z. Wasilewskiego, poświęconą charakterystyce osobistości młodego Norwida. Należy się jej obszerniejsza recenzja.

*

Juljan Fałat. „Pamiętniki". (Z ilustracjami, Warszawa 1935. F. Hoesick). Str. 209.

„Pamiętniki" są równocześnie pamiętnikiem polskiej sztuki malarskiej minionej doby. Kraków, Monachjum, Paryż i nauka w tamtejszych szkołach i akademjach kształtowały talent, który od lat dziecinnych na wsi i w gimnazjum na prowincji objawiał się uparcie w najnieprzyjaźniejszych warunkach zewnętrznych. W historji kultury często zdarzało się, że brak zrozumienia ze strony otoczenia tamował rozwój zdolności, ale w tym razie przeszkody były szczególnie przykre i złośliwe. Biciem, głodem, i przymusem do zatrudnień gospodarczych starano się zniechęcić chłopca do uprawiania wrodzonych zamiłowań. Więc uciekał w pola i lasy, aby swobodnie patrzeć w otwartą księgę przyrody.

W „Pamiętniku" opowiada, maluje wrażenia krajobrazów rodzinnej wsi Tuligłów, „oczerety i szuwary ogromnego stawu, zaledwie oswobodzone z zimowej pokrywy, jeszcze pogmatwane i zmiętoszone śniegiem, wychylone z toni wód szafirowych i niebieskich, dawały przytułek tysiącom dzikich kaczek, łysek, kurek wodnych, — wszelakiemu wodnemu i błotnemu ptactwu, przybyłemu z południa. Na ten widok zawsze bezbrzeżna radość przepełniała mą duszę, z postępem wiosny zaczynałem na nowo żyć". A lasy? Nikt ich przed nim tak nie malował. Łąki, sylwety chat i dworu, nabożeństwo w wiejskim kościołku, charakterystyczne jarmarki w Komarnie, w domu „Żywoty świętych" Skargi jako jedyna lektura, wychowały wyobraźnię tego polskiego malarza, podobnie jak wychowały wyobraźnię Chełmońskiego i Reymonta. Później w mieście, zdany na własne siły, skłonność do malarstwa okupywał głodem i chłodem, ale przytem zdobywał coraz bogatsze środki techniczne dla uwydatnienia swej oryginalnej indywidualności. Entuzjasta, o żywiołowym humorze i fantazji, szczery, koleżeński zjednywał sobie przyjaciół w kraju i zagranicą, dokąd pociągała go ciekawość i chęć dalszych studjów. Los mu sprzyjał. Dzięki zaproszeniu zamożnego przyjaciela odbył podróż naokoło świata. Wszędzie, o czem w „Pamiętniku" wspomina ze skromnością właściwą prawdziwemu artyście, budzi podziw swemi rzucanemi na papier akwarelami. Po

powrocie do kraju w krótkim czasie dzieła jego zyskują pokup na rynku międzynarodowym i sławę światową, powodzenie na dworach panujących i wielkich panów. Znaczenie talentu Fałata w historji malarstwa, jak i jego zasługi w zorganizowaniu na nowo Akademji w Krakowie są powszechnie znane.

Z „Pamiętnika", opracowanego po śmierci artysty przez brata jego Stanisława, patrzy na czytelnika miły gawędziarz, artystyczna serdeczna dusza, oddana sztuce i ludziom. (A. W.)

# ZE ŚWIATA SZTUKI

## SZTUKA GOTYCKA

W POPRZEDNIEJ recenzji zatrzymaliśmy się dłużej przy rzeźbie, teraz kolej na malarstwo. Ponieważ wystawa uwzględnia dzieła z okresu dwu stuleci, musimy niektóre różnice między niemi i na karb czasu złożyć, ale nie będziemy się zajmowali ich wyliczaniem, biorąc raczej do naszych rozważań malowidła najbardziej dla gotyku typowe. A więc pominiemy te, które wkraczają już w renesans, również na uboczu pozostawimy obrazy o wielkiej elokwencji kunsztu malarskiego — większą bezpośredniość i szczerość, choć nie „uczoną", odnajdziemy często w dziełach, pod tym względem, skromnych.

W minjaturach romańskich postać ludzka została sprowadzona do prostoty symbolu — znaku nieledwie. Znak taki, oprócz sensu umownego, miał również duże wartości dekoracyjne; takie same wartości ornamentacyjno - dekoracyjne cechowały przejrzysty układ całości kompozycji. Dużo z podobnych wartości dekoracyjnych układu pozostało w malowidle gotyku, lecz traktowanie kształtu ludzkiego ulega zasadniczym przemianom. Wzrasta zainteresowanie cechami indywidualnemi człowieka, widzimy próby różniczkowania typów, zamiast poprzedniego ogólnikowego ujęcia, które mówiło— człowiek, lecz nie zaznaczało jaki. Rozbudzona chłonność zjawisk natury uwidocznia się, raz po raz, zanotowaniem jakiegoś szczegółu, którego istnienie przedtem, w malowidle epoki romańskiej, było nie do pomyślenia (np. nagniotki apostoła w obrazie Franciszka z Sieradza). Ale przedewszystkiem te szczegóły naturalistyczne — trzeba podkreślić — służą do sprowadzenia uczuć i myśli widza w kierunku, wskazanym przez treść religijną dzieła.

W scenie Biczowania widzimy umęczonego Chrysusa, o ciele wprost pocentkowanem krwawemi znakami, malującemu twarze siepaczów artyście nigdy niedość w nich zwierzęcości. Są też i akcenty bardziej pogodne. Małe aniołki, których przeznaczeniem jest pełnić służbę przy osobach Swiętych, zachowują się jeszcze z jaką taką powagą tuż przy dorosłych, ale już na boku, gdzieś w kącie, ruchliwa gromadka, jak dzieci, szepcze coś między sobą, ugwarza — poprostu dzieli się uwagami na temat odbywającej się właśnie uroczystości.

W związku z temi wszystkiemi oznakami naturalizmu, który daleko później, u schyłku renesansu, doprowadził do całkowitego zwycięstwa cielesności, obserwujemy i w pejzażu próby ujęcia perspektywicznego, próby zaznaczenia przestrzenności. Nad zwartą masą ludzką, uwieńczoną krążkami złotych nimbów, falista linja horyzontu, ale za nią, zamiast oczekiwanej głębi nieba — płaska ściana złoconego i wytłaczanego w deseń tła. I tu wkraczamy na teren przeciwieństw: próby wprowadzenia efektów przestrzennych, a jednocześnie stosowanie dekoracyjnej płaszczyznowości; usiłowania naturalistyczne, a zarazem — nieproporcjonalnie malutkie postacie klęczących fundatorów przed świętemi osobami.

Ta dziwna napozór mieszanina nie jest rzeczą przypadkową, nie wydaje mi się także jedynie skutkiem stopniowej ewolucji stylów i związanych z niemi przeobrażeń ujmowania rzeczywistości. Rozmaite sposoby ujęcia — dla nas sprzeczne — tłumaczą się: jedne — prawdą natury, drugie — sensem treści religijnej. Dla ludzi ówczesnych oczywistość zjawisk nadprzyrodzonych była faktem również nie ulegającym wątpliwości, jak i prawda natury. Obie prawdy: religji i natury miały dla nich jednakową wiarygodność. Żeby to sobie lepiej uświadomić, posłużmy się znowu porównaniem. Tak jak uprzednio gotyk zestawialiśmy z romańszczyzną, tak teraz dajmy mu za tło renesans. Rozpatrzmy chociażby taką kwestję nimbu. Malarza gotyku, nawet tego, który malował apostołów z nagniotkami, nie raził wcale, nad głową świętego, płasko położony nimb, w postaci złotego krążka. Dopiero niewierzący malarz renesansu powiedział: to mi wygląda zamało prawdopodobnie i naturalnie (bo ufał tylko prawdzie natury). Wymalował więc nimb w kształcie świetlistego krążka, w perspektywie. Musiał usprawiedliwiać cud, gdyż weń nie wierzył. Dla tamtych zaś cudowność była również oczywista, jak oczywistość natury.

Obrazy, zgromadzone na wystawie gotyckiej w IPSie, pochodzą z dawnych warsztatów malarskich, rozsianych ongiś po całej Polsce. Pracowało w nich sporo cudzoziemców, także i nasi artyści, u obcych lub przez obcych kształceni. Lecz przedewszystkiem te pracownie zatrudniały licznych Polaków, tu na miejscu stale pracujących, i oni przecież musieli w tych malowidłach kawałek swej duszy polskiej zostawić. Urzeczeni przecenianemi wpływami sztuki niemieckiej, dotychczas wartości przez nas wniesionych jakbyśmy nie szukali. Nad tem właśnie zagadnieniem pracują i teraz nasi historycy sztuki (dr. M. Walicki). Na wyniki tej pracy czekamy ze zrozumiałą niecierpliwością.

WIKTOR PODOSKI

# TEATR

## „CZŁOWIEK CZYNU"

(w Teatrze Nowym)

MOŻNA być znakomitym narratorem, a równocześnie nie mieć o sztuce pisania utworów dramatycznych zielonego pojęcia. P. Michał Choromański zdał celująco egzamin jako nowelista i słusznie za jeden z tomów swojej prozy otrzymał zaszczytną nagrodę. Opowiadać umie. Komponuje nowele doskonale. Ma styl oryginalny. Włada piórem biegle. Ale dramatopisarzem jeszcze nie jest. Kunsztu pisania dla sceny jeszcze nie opanował. Jest zdolny, więc prawdopodobnie przyswoi go sobie. Pierwsza jednak próba jego twórczości scenicznej, którąśmy w zeszłym tygodniu oglądali w Teatrze Nowym, wypadła bardzo słabo.

P. Choromański zamierzał napisać poważny dramat o człowieku, który w czasie wojny i rewolucji przywykł na dalekiej obczyźnie do życia bohaterskiego, który marzy o dokonaniu jakiegoś wielkiego czynu przez wielkie C, a rzucony po powrocie do kraju na mieliznę przeciętnego, powszedniego wegetowania, czuje się w warunkach bytu drobnomieszczańskiego jak ryba, wyciągnięta z wody: miota się rozpaczliwie i marnuje. Zalewa robaka alkoholem, do którego ma podobno skłonność dziedziczną. Poznajemy go jako wyko-

lejeńca-degenerata, pasorzytującego na drobnoburżujskiej rodzinie, która go przygarnęła z litości i której uregulowane życie zostało przez niego całkowicie zdezorganizowane. Typ dostojewsko - ibsenowsko - strindbergowski, pokazany na tle jadalni ze sztuk Zapolskiej..

P. Choromański z nieszczęsnym swoim bohaterem, bzdurzącym ciągle o czynie, zalewającym się wódką, uwodzącym córkę domu, naciągającym na pieniądze służącą, odbijającym po pijanemu jakiegoś kasiarza, aresztowanego przez policję, apoteozującym zbrodniarzy i wymyślającym, ile wlezie, społeczeństwu—szczerze współczuje. Biorąc pióro do ręki, miał najszczerszą intencję potraktować swego bohatera zupełnie serjo. Mimowoli zrobił karykaturę. Zamiast dramatu zamierzonego napisał niechcący zgoła nieudaną komedję.

Publiczność, jaknajżyczliwiej usposobiona do Choromańskiego, nie była w stanie, pomimo najlepszej woli współczuć ani z autorem, ani z bohaterem sztuki. Przez półtora aktu słuchano nudnych bzdur cierpliwie. Gdy wreszcie jednak padły ze sceny słowa „dość tego" — rozległy się ironiczne oklaski. Druga salwa oklasków—niestety również ironicznych—została sprowokowana słowami: „to jest pusta gadanina bez treści". Cytuję z pamięci, może niezupełnie ściśle.

Aktorzy, biorący udział w przedstawieniu, zostali temi oklaskami speszeni. Grali coraz bardziej nerwowo. Nie byli pewni, czy znudzona i zniecierpliwiona publiczność pozwoli im dograć do końca. W najpatetyczniejszej scenie aktu trzeciego jedna z aktorek parsknęła śmiechem.

Pierwsze koty—za płoty. Miejmy nadzieję, że następna sztuka p. Choromańskiego będzie lepsza.

S. J. G.

# MUZYKA

FILHARMONJA — Willy Ferrero był kiedyś podobno cudownem dzieckiem. Cudowność taka ma polegać na tem, iż mimo dziecinnego wieku posiada się umiejętności czy psychikę dojrzałego człowieka. Nie mogę się zgodzić z tem pojęciem, a raczej określeniem; dla mnie dziecko jest cudowne wówczas, gdy nie ma w sobie nic z wynaturzenia, przedwczesnej powagi. Piszę to mimowoli, gdyż Willy Ferrero jest dzisiaj już dorosłym człowiekiem, a jednak zda się czasami, że nad większością krytyków ciąży jeszcze dotychczas kompleks jego „cudownego dzieciństwa", co nie pomaga, ale przeszkadza wydaniu właściwego osądu. Ferrero, mimo swego wrodzonego talentu dyrygenckiego, jest artystą nierównym. Dwa koncerty, które prowadził (26-go kwietnia i 3-go maja), dały możność stwierdzenia tego na wielu przykładach. Najlepiej się czuł artysta wśród swoich, t. zn. wśród kompozytorów włoskich, których skłonności do muzycznego patosu świetnie łączyły się z doskonałem odtwarzaniem i podkreślaniem momentów dynamicznych. Szczególnie tam, gdzie w grę wchodził rytm — „Epizod symfoniczny" z opery „Romeo i Julja" Riccarda Zandonai'a, mimo, iż nie jest wolny od posmaku banału włoskiej opery (tej z ostatnich kilkudziesięciu lat), błysnął dużym efektem. Spodziewaliśmy się wszyscy, że ogromna wrażliwość na rytm pozwoli wydobyć cały wyraz „Bolera" Ravela. I tu zawód. Ferrero „przeintelektualizował" ten utwór, osłabił jego tempo, tracąc wydobycie wcale nawet łatwego wyrazu. Nie wyzyskał również szóstej symfonji Beethovena, mimo jej programowości. Jest to poniekąd zrozumiałe. Temperament Ferrera przeszkadza mu w wydobywaniu subtelniejszych odcieni.

A „pastoralna" to przypływ marzenia o innym świecie, pieśń kultu natury, wyznawanego przez świat osiemnastowieczny, to przysłuchiwanie się szmerowi strumyka, płynącego sobie wśród „wdzięcznego" bezładu skalnego łożyska - dekoracji, to przypatrywanie się zabawie wieśniaków, pojętej jako żywy obraz, to uczucie, sentyment, czułostkowość niezgodna, zdawałoby się, z postacią Beethovena, którego nie wolno strącać z wyżyn, na które wyniosło go powszechne uwielbienie!... A przecież ten wielki artysta był człowiekiem, i to człowiekiem zamkniętym w klamry lat 1770 — 1827 i dlatego, mimo swej genjalności przedstawiał również ducha swego czasu. Weźmy chociażby podłoże trzeciej symfonji. Należał, prawda, do najlepszych przedstawicieli, do największych — pchał życie naprzód, ale i ulegał przytem manierze treści i formy.

Dlatego szósta symfonja nie jest utworem łatwym do interpretacji. Należy tu wydobyć charakter ówczesnego obrazu, przepuszczony przez wielkość postaci Beethovena. I Ferrero nie podołał całkowicie zadaniu.

Za to, jak powiedziałem, był sobą, gdy prowadził utwory muzyki włoskiej. Corelli *(Sarabanda, Giga e Badinerie)*, Vivaldi, *(Concerto grosso d-moll)*, Scarlatti *(Burlesca)*, Rossini (uwertura do zapomnianej opery „*La scala di seta*") przedstawili się w pełni swej barwy. Istnym majstersztykiem była suita Respighi'ego „Ptaki". Respighi jest dzisiaj bodaj że jednym z najlepszych, nazwijmy to — rzemieślników. (Proszę źle nie zrozumieć!). Zna doskonale tajemnice instrumentacji i potrafi wydobyć z orkiestry wszystko czego zapragnie. „Gołąb", „Kura" i „Kukułka" cieszyły swoim znakomicie podchwyconym realizmem zabawek, tworzonych kiedyś z ogromną pomysłowością i wyszukanym dowcipem. Pasquini, Jacques de Galat i Rameau byli tymi pogodnymi wytwórcami, co to dla zabawy tworzyli groteskowe utwory, zadziwiające nas po dziś dzień tak, jak np. skomplikowane mechanizmy żyjących własnem życiem i stanowiących swój świat—starych zegarów. Respighi wyszukał je, zinstrumentował, a Ferrero puścił w ruch. Podobały się wszystkim. Niektórzy tylko dla ratowania powagi swego znawstwa muzycznego, nie brali tego zupełnie na serjo... Boże, jacy śmieszni!

Przedstawiciele nowszej muzyki włoskiej nie zaimponowali. Masetti, Rosselini, Petrassi, Zandonai pokazali rewję pretensjonalności, niedzisiejszej programowości i niedzisiejszej operowości podaną zresztą z ogromnym temperamentem, niezwykłą śmiałością w używaniu środków wyrazu, zamiłowaniem (często, bardzo często, zbędnem), do efektów dynamicznych. Rekord wszystkiego pobił Renzo Rosselini epizodem, zatytułowanym „Tancerka z pochodniami" z suity „Hoggar". Podobno epizod ten został zaopatrzony w następujące *motto:* „Pobrzękując bransoletkami, porywasz mą duszę; kiedy tańczysz — serce moje drży". Radzę z całego serca unikać podawania podobnych literackich wzruszeń, wprowadzają one bowiem odrazu w charakter utworu, a tak — możeby się komu owa „fantastyczna orgja tańca" spodobała?

Na szczególną pochwałę zasługuje redakcja programu Filharmonji, który nas już przez dwa wieczory, a jeszcze nie koniec, szczerze bawił swym anonimowym traktatem o nowej muzyce.

Obok artykuliku poświęconego osobie Willy Ferrero znajdujemy np. takie „wygarnięcie" wszystkim dyrygentom:

„...Ponieważ zagmatwanie pojęć tego typu sługom muzyki ułatwia korzystanie ze sławy, właściwej tylko genjuszom, dziwić się nie można, że uważają siebie za dostojniejszych od prawdziwych mistrzów sztuki muzycznej.

Ważniejszem niż sam utwór jest dla nich „pojmowanie" utworu. Podtrzymuje ich w tem mniemaniu wprowadzona w błąd publiczność, która w większości wypadków uczęszcza nie przez wzgląd na kompozytora, lecz dla usłyszenia danego dyrygenta lub solisty.

Doszło nawet do tego, że nazwisko odtwórcy drukuje się na afiszach czcionkami kilkakrotnie większemi od nazwiska kompozytora"...

Co za odważne samooskarżenie! I co za samobiczowanie się drukowaniem takich traktatów! I jak to dobrze, że zaproszony Ferrero nie rozumie po polsku...

W. NARUSZ

## O LISTY ODYŃCA

NIEDAWNO ogłosiłem rozprawę p. t. „Mickiewicz w oświetleniu Odyńca”, przeznaczoną dla badaczy Mickiewicza. Starałem się tam wykazać, jaką metodą posługiwał się Odyniec przy komponowaniu swych „Listów z podróży”. Zająłem się głównie przytoczonemi tam mowami Mickiewicza i wykazałem, że są to zmyślenia Odyńca, wzorowane na rozmowach Eckermanna z Goethem. W ostatecznych wnioskach orzekłem, że „Listy” Odyńca nie mają wartości dokumentu naukowego, ale należą do historji kultu poety, oraz że można je traktować jedynie z punktu widzenia literackiego i czytać tak, jak się czyta romanse na temat Słowackiego lub Kochanowskiego (str. 22).

Rozprawa moja spotkała się z dużym atakiem ze strony p. Walerjana Charkiewicza na łamach „Pionu” nr. 17 b. r. Nie znam autora i nie wiem, co reprezentuje ten młody współpracownik „Pionu”? Nie zamierzam też wcale z nim polemizować, chcę jedynie wskazać, jak młoda generacja pojmuje zawód recenzenta. Recenzja winna dać pewne wyobrażenie o książce i dążeniu autora, jeżeli zaś jest polemiką, winna dać pewną garść argumentów.

P. Charkiewicz wystąpił w obronie Odyńca z punktu widzenia czysto literackiego:

„Prof. Życzyński uważa Odyńca za przestępcę ze względu na ogłoszenie przerobionych i uzupełnionych listów. Więc żaden literat nie ma prawa ogłaszać swych listów w zmienionej formie... Mistyfikacja nie jest zjawiskiem karygodnem”.

A więc p. Ch. nie próbuje przeczyć, by „Listy” Odyńca nie były mistyfikacją, broni więc tego, co ja im przyznałem, że są romansem. Wielkie laury jednak zbierał Odyniec nie za romans. Współcześni czytelnicy jego „Listów z podróży” byli przekonani, że on, podróżując kiedyś z Mickiewiczem, należycie wykorzystał tę sposobność i skrupulatnie notował dla pamięci potomnych wszystko, co odnosiło się do wielkiego poety. Gdyby to był uczynił, zasługiwałby po dziś dzień na dużą wdzięczność. Niestety, dziś możemy mówić jedynie o nim, jako o literacie, autorze romansu.

Jest więc dla mnie prawdziwą zagadką, czego właściwie chce odemnie p. Charkiewicz? Wprawdzie widzę, że ma on specjalny kult dla Odyńca. Mnie to osobiście ani ziębi, ani grzeje, interesowała mię bowiem jedynie naukowa strona owych listów. Nie dziwi mnie też ton recenzenta, dziwi mię jednak fakt, że redakcja „Pionu” mogła przepuścić takie nieprzyzwoite pouczenia człowieka, który sam nie wie, czego chce, a wyraża się o mej pracy następująco:

„Jest ta broszura niezwykle jaskrawym wzorem pracy naukowej, w której nietylko niema ani krzty objektywizmu...”

Lublin HENRYK ŻYCZYŃSKI

## NOWE KSIĄŻKI

Jakubowski Adam. Z tajników polityki żydowskiej. Warsz. 1935. Odb. z „Myśli Narod.”. S. 48.

Alberti Kazimiera. Godzina Kalinowa (Poezje). Kraków 1935. Gebethner i Wolff.

Polacy w Czechosłowacji. Memorjał komisji studjów nad stosunkami polsko-czeskiemi. Warsz. 1935. Instytut współpracy z zagr. S. 130 i mapa.

Muzyka Polska, kwart. 1935, zesz. 5.

Ruch Literacki. Styczeń 1935.

Wileński Kalendarz Narodowy. 1935. Wilno. Str. Narodowe. S. 186 i XXII.

Grosman M. Karol Marks. Powieść biograficzna. Przekład S. Reya. Warsz. 1935. Znicz.

Nowa konstytucja polska. Szkice polityczne K. Hrabyka, M. Piszczkowskiego, Z. Stahla. Lwów 1935. Organ. Myśli politycznej. S. 89.

Wierczak Karol. Sprawa najważniejsza. Warsz. Str. Narodowe. S. 16.

Wierczak Karol. Między Zbruczem a Karpatami. Lwów 1935. Bibl. Kresowa. S. 27.

Znaniecki Florjan. Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości. Warsz. 1935. Książnica-Atlas. S. 380.

Siedlecki Franciszek. Fragmenty. Warszawa 1935. Dom Ks. Pol. S. 254.

Verbum. Kwartalnik poświęcony zagadn. kultury współczesnej. Warsz. 1935. I.

Rafur Józef dr. Dzieje i ustrój Podhala Nowotarskiego za czasów dawnej Rzpltej. Warsz. 1935. Kasa im. Mianowskiego. S. 217.

Szelburg Zarembina Ewa. Wędrówka Joanny. Powieść. Warsz. Gebethner i Wolff.

Kruczkowski Leon. Pawie pióra. Powieść. Warsz. Gebethner i Wolff.

Sztaudynger Jan. Kantyczki śnieżne. (Poezje). Poznań 1935.

Jastrzębski Wincenty. Powody reorganizacji lecznictwa ubezpieczeniowego, Warsz. 1935. S. 15.

Suchodolski Bogdan. Kultura i osobowość. Wypisy z dzieł myślicieli polskich XIX i XX w. Z portretami. Warsz. 1935. Nasza księgarnia. Str. 660.

Chérau Gaston. Przeznaczenie. Powieść. Warsz. 1935. Wyd. nowoczesne.

Hagenbach Arnold. Pilot Tex. Bohaterzy nocnego expressu. Warsz. 1935. Wyd. nowoczesne.

Wojciechowski Zygmunt. Myśli o polityce i ustroju narodowym. Poznań „Awangarda P. N.”. Str. 160.

Orzeszkowa Eliza i Romski J. Ad astra. Dwugłos. Warsz. 1935. Tow. im. El. Orzeszkowej.

Arcimowicz Władysław. Cyprjan Kamil Norwid na tle swego konfliktu z krytyką. Wilno 1935. Nakładem Koła polonistów Un. S. B. Str. 175.

Koczorowski St. P. Norwid i dziś. Głosy krytyczne o wydaniu dzieł Norwida przez T. Piniego. Warsz. 1935. F. Hoesick. Str. 58.

## NA MARGINESIE

W Warszawie wielkie wrażenie zrobiła wiadomość z Londynu, że król Jerzy z racji jubileuszu nadaje odznaczenia przedstawicielom opozycji.

— Może amnestję?

— Gdzie zaś — odznaczenia.

— To chyba odznaczają piętnem po to, aby wiadomo było, kogo uwięzić?

— Nie Tam jest taki śmieszny ustrój, że opinja narodowa dopuszczona jest — także w drodze opozycji — do współpracy z państwem, które w ten sposób dąży do uzgodnia swych poczynań z wolą narodu.

— Dziwne obyczaje!

*

Bardzo zabawne są żydki z PAT-a, kiedy przychodzi im formułować jakąś wiadomość, odbiegającą od codziennego szablonu. Zupełnie wówczas nie mogą sobie dać rady z tak trudną dla nich i tyle niebezpieczeństw kryjącą — polszczyzną...

Tak np. opisując uroczystości z okazji jubileuszu królewskiego w Londynie, rozpoetyzowany korespondent telegrafował, co następuje:

„Na przestrzeni kilkunastu mil wszystko jest udekorowane i tonie poprostu w powodzi barwnych kolorów...”

A dalej:

„...parę królewską powitał lord mayor City, oddając w ręce króla tradycyjny miecz, wyobrażający insygnia...”

„Barwne kolory”...! „Miecz, wyobrażający insygnia”...! Jakże niezgrabni są ci starozakonni w obcem dla siebie, europejskiem środowisku!...

*

Wiadomość, że władze sowieckie tolerowały w tym roku nabożeństwa w cerkwiach moskiewskich, powitano u nas z zadowoleniem. Może bowiem nasi reformatorzy psychiki polskiej zdejmą bezbożnictwo z porządku dziennego swych ciężkich zadań.

## TREŚĆ:



Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM